

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czek z wynagrodzeniem odbierzesz u Delii. Jeszcze raz wielkie dzięki za pomoc - powiedział Abe Swenson, szeryf hrabstwa Payne. - Wiesz dobrze, że gdybyś kiedykolwiek zechciał pracować u nas...

- Przykro mi - przerwał mu Colin. - Ale jako ochotnik mogę decydować sam za siebie, no i poza tym bardzo lubię zajęcia na ranchu.

Nie dodał, że za każdym razem, kiedy zgadzał się pomóc policji, przysięgał sobie, że robi to po raz ostatni.

- Dobrze byłoby, gdybyś postarał się jak najszybciej dotrzeć do domu. Właśnie dostałem najświeższe prognozy. Na północy i wschodzie stanu wszystkie autostrady już są zamknięte. Nasz dworzec autobusowy też przestał działać.

- Mój wóz nieźle sobie radzi na śniegu.
- Zapowiadali, że wieczorem ma być oblodzenie.
- Dzięki, Abe.

Colin wstąpił do biura, gdzie poplirtował przez chwilę z Delią i wziął czek, a następnie zapiął szczelnie kurtkę, nasadził kapelusz głęboko na czoło i wyszedł na zewnątrz.

Grube płatki śniegu wirowały w powietrzu i bezgłośnie spadały na ziemię, pokrywając chodniki miękkim płaszczem, skuwając lodową pokrywą suchą trawę i zmieniając się w błoto na jezdni. Colin otworzył drzwi swojego nieco pod-

niszczonego samochodu dostawczego, umocował ustawione tam siatki z zakupami, a potem usiadł za kierownicą i włączył się do ruchu. Było piątkowe popołudnie i na ulicach panował tłok. W okolicach uniwersytetu musiał zwolnić tak, że ledwo posuwał się do przodu.

Skreślił w przecznicy i mijał teraz sklepy, piwiarnie i restauracje. Zauważył dwóch chłopców, rzucających kulami śnieżnymi w stronę trzech ładnych dziewcząt i na moment boleśnie ugodziło go poczucie samotności.

Zbliżał się do świateł, które właśnie zmieniły się na czerwone. Przystanął i wtedy zobaczył tę kobietę. Wysiadała z samochodu zaparkowanego przy krawężniku po prawej stronie, za skrzyżowaniem. Zamknęła drzwi i rozejrzała się wokoło. Była wysoka, ale wyglądała jakoś niekształtnie w obszernej brązowej kurtce i znoszonych dżinsach, z włosami schowanymi pod szarą czapkę i w wielkich okularach na nosie. Miała przy sobie dużą, wypchaną torbę, przewieszoną przez ramię.

Kobieta przebiegła przez jezdnię, mimo czerwonego światła. Jakiś samochód wpadł w lekki poślizg i zatrafił na nią, a ona skreśliła i przeszła na drugą stronę tuż przed maską samochodu Colina. Odwróciła się i ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Nie mógł nie zauważyć tych ogromnych, zielonych oczu. Nieznajoma weszła na chodnik i zniknęła w drzwiach księgarni.

- Głupia smarkula - mruknął do siebie Colin.

Poprawiając wsteczne lustro, zauważył, że w pewnej odległości od niego dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach wysiadło z samochodu i pośpieszyło do księgarni. Instykt policjanta ostrzegł go, że coś tu nie gra, gdyż mężczyźni

ubrani byli dość charakterystycznie, a poza tym w pamięci utkwіło mu to, że w oczach tamtej kobiety zobaczył strach.

- Whitefeather, masz jakieś przywidzenia - powiedział do siebie głośno.

Światła zmieniły się i Colin ruszył powoli, przyglądając się tamtym mężczyznom, którzy szli, nie rozglądając się, jakby podążali czyimś śladem. Lepiej trzymaj się od tego z daleka, upomniał się w duchu. Po chwili jednak nie wytrzymał i skręcił w najbliższą przecnicę. Ulica, którą jechał przed chwilą, była jednokierunkowa i musiał zrobić spore kółko, zanim jeszcze raz znalazł się w tym samym miejscu. Czuł, że zaczyna wtykać nos w nie swoje sprawy, ale nie mógł zapomnieć widzianej przed chwilą kobiety o pełnych lęku oczach.

Zauważył jeszcze jednego dziwnie wyglądającego mężczyznę, zmierzającego do księgarni.

- Powinniście, chłopcy, wziąć parę lekcji, jak nie wyróżniać się z otoczenia - mruknął, włączając się do ruchu.

Od razu ją zobaczył. Szła w jego kierunku, po prawej stronie ulicy. Gdyby nie wzrost, łatwo mogłaby wtopić się w tłum. Dwaj mężczyźni w płaszczach podążali za nią w pewnym oddaleniu i trudno byłoby jej im uniknąć.

Głos, który ostrzegał go, żeby trzymał się z daleka, zamilkł już definitywnie i Colin skierował samochód jak najbliżej krawężnika, otwierając jednocześnie prawe drzwi.

- Proszę wsiadać. Zabiorę panią stąd. Jestem policjantem.

Wielkie, zielone oczy spojrzały prosto na niego i przez chwilę zatonał w ich głębi. Chwila zmieniła się w wieczność. Otaczały ich przeróżne dźwięki - warkot silników samochodowych, szum opon, rozgniatających miękkiego śniegu, nawet

padające gęsto płatki śniegu, ale zaraz cały świat zogniskował się w niej i wszystko inne wyparowało ze świadomości Colina.

Nagle kobieta potrząsnęła głową i rozejrzała się spłoszonym wzrokiem, jak zwierzę schwyte w pułapkę. Mężczyźni w płaszcach byli już w połowie drogi od najbliższej przecznicy i nieznajoma pośpiesznie weszła do restauracji.

Colin zatrzasnął drzwi i ruszył, zaś mężczyźni przyspieszyli kroku, wyraźnie zmierzając za kobietą do restauracji. Colin znów doznał uczucia, że wtrąca się w cudze sprawy, ale odsuwając je od siebie, skręcił w boczną ulicę i przystanął zaraz za rogiem. Jego domysły okazały się trafne - nieznajoma wyszła z restauracji tylnym wyjściem. Jeszcze raz otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Mówię prawdę, jestem policjantem.

Obejrzała się i widząc, że mężczyźni pojawili się w drzwiach wyjściowych, szybko wsiadła do samochodu. Colin włączył wsteczny bieg, wycofał samochód z powrotem na ulicę, a potem dodał gazu i skręcił na następnym skrzyżowaniu. Trzymając jedną ręką kierownicę, drugą sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i otworzył go tak, żeby widać było legitymację policyjną.

- Proszę - powiedział, rzucając jej portfel na kolana.

Jeszcze raz skręcił, przejechał z dużą szybkością spory odcinek ulicy, znów skręcił i powtarzał to kilkakrotnie, aż wreszcie znaleźli się w zaułku, którego jedną stronę zajmowały garaże. Colin zahamował przed jednym z nich i wjechał do środka.

- Co pan robi? - spytała kobieta cichym, drżącym głosem, kiedy Colin wysiadł, żeby zamknąć drzwi garażu, a po-

tern wrócił za kierownicę. W przyćmionym świetle, wpadającym do garażu przez dwa okna, widział, że odpięła pas bezpieczeństwa i trzyma rękę na klamce, gotowa do ucieczki.

- Starałem się ich zgubić. Musimy trochę poczekać.
- Mogą zauważyć ślady prowadzące do garażu.
- Nie sądzę, za chwilę nie będzie już ich widać. Śnieg pada coraz gęściej.

Katherine Manchester była przerażona, ale z drugiej strony tak bardzo chciała mu wierzyć. Gdyby tylko nie był policjantem. Gdyby nie był tak potężnie zbudowany. Taki wysoki, że ledwo mieścił się za kierownicą. I patrzył na nią tak, że denerwowała się jeszcze bardziej.

- Pan tutaj mieszka?
- Nie, mój przyjaciel. Nie ma go teraz w domu, bo jest na służbie. Posiedzimy tu przez kilka minut. Jestem Colin Whitefeather.

Zastanawiała się, czy powiedzieć mu swoje prawdziwe nazwisko, ale zauważyła, że zdziwiło go jej wahanie.

- Nazywam się Katherine Manchester - odezwała się, czekając na jego reakcję. Jednak, ku jej uldze, to nazwisko nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

- Witam panią w Stillwater - powiedział przyjaznym tonem, a Katherine poczuła, że wbrew sobie samej zaczyna się odprężyć.

Na miłość boską, przecież on jest policjantem! Wyglądał groźnie, ale jednocześnie zachowywał się przyjacielsko i pomagał jej. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Chwileczkę. - Colin wysiadł i poszedł, żeby wyjąć coś z półciężarówki. Za moment był już z powrotem, przynosząc

paczkę ciastek, jabłka i karton mleka. - Proszę, możemy coś przegryźć.

- Dziękuję- odparła, biorąc od niego paczki. Wyjęła chusteczkę i zaczęła wycierać jabłka, a potem wręczyła mu jedno.

- Obserwowali pani samochód - powiedział nagle Colin. Katherine ugryzła jabłko i zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie spojrzała na Colina.

- Czy tu jest lotnisko albo dworzec autobusowy? - spytała.

- Wszystko zostało zamknięte z powodu burzy śnieżnej. W jej oczach błysnął strach. Czyżby chciała porzucić tutaj samochód? Przyglądał się jej i nagle zdał sobie sprawę, że najwidoczniej starała się ukryć swój prawdziwy wygląd pod obszernym ubraniem i makijażem, zmieniającym kształt ust i brwi. Biednie wyglądająca kurtka nie pasowała do lśniącego samochodu, z którego przedtem wysiadła.

Przypuszczał, że jest wysoka i smukła, a brązowe włosy w rzeczywistości mają piękny, rudy kolor - bo takie były tuż przy skórze głowy. Może przyjechała z Las Vegas? Była czyjaś przyjaciółką i wiedziała za dużo albo coś ukradła? Mocno ścisnęła leżącą na jej kolanach torbę, więc domyślił się, że może tam mieć pistolet.

Katherine otworzyła karton z mlekiem i piła je łączywie. Ciekawe, kiedy ostatni raz coś jadła.

Usłyszeli zbliżający się samochód i jej twarz pobladła tak, że widać to było nawet pod grubym makijażem. Przestała jeść, oddychała ciężko i zacisnęła palce na torebce, aż pobieły jej kostki. Nie nosiła pierścionka ani obrączki.

Samochód zbliżał się. Widocznie powoli przejeżdżał uli-

czka, przy której się ukryli. Colin sięgnął za pazuchę kurtki i wyciągnął pistolet, nie odrywając wzroku od drzwi garażu.

- Może niech się pani zsunie na podłogę, dopóki nie odjadą - powiedział szeptem, starając się, żeby to nie zabrzmiało groźnie.

Katherine posłusznie wykonała polecenie i czekali w napięciu, podczas gdy odgłos samochodu oddalał się, aż w końcu ucichł.

- Odjechał - rzekł Colin, a Katherine niezgrabnie wdrapała się z powrotem na siedzenie. - Poczekajmy chwilę, zanim stąd wyjdziemy.

- Może pan mnie wysadzić gdziekolwiek.

- Oni na pewno obserwują pani samochód i dworzec autobusowy, mimo że jest zamknięty. A stacji kolejowej u nas nie ma.

Katherine na moment zakryła dłońią oczy, a potem utkwiała wzrok w drzwiach garażu.

- Zna pan prognozę pogody?

- Burza zbliża się nieuchronnie, a ja muszę jechać na północny wschód - moje ranczo znajduje się kilkanaście kilometrów za miastem. Mogę zawieźć panią do Pawnee, a stamtąd ma pani autobus do Tulsa, gdzie jest lotnisko.

Patrzył na jej usta, na dolną wargę, którą właśnie zagryzła olśniewająco białymi zębami, i zaczął wyobrażać sobie ich dotyk. Co za zwariowane myśli! Ta kobieta ma kłopoty, a jemu tylko tego potrzeba, żeby się w nie mieszać. I tak już zaofiarował się, że zawiezie ją do Pawnee w taką burzę, co oznaczało, że albo utknie tam co najmniej do jutra, albo dotrze do domu dopiero w nocy.

- Bardzo dziękuję, ale lepiej niech mnie pan wysadzi gdzieś tutaj. Dam sobie radę.

Niech sobie idzie i do widzenia, pomyślał.

- Nie uda się pani wydostać z miasta. Tutaj nie ma gdzie się ukryć, oni znajdą panią bez trudu - tłumaczył jej, czując jednocześnie, że chyba postradał zmysły. Powinien być zadowolony z tego, że ona chce iść swoją drogą. Fakt, że on jest policjantem, wcale jej nie uspokajał i Colin znów pomyślał o tym, iż być może uciekła z Las Vegas. Chociaż zupełnie nie wyglądała na wesołą panienkę. A może w tej torbie ma pieniądze albo narkotyki? Tak, chyba się nie myli.

- Poradzę sobie - upierała się, a Colin doznał uczucia ulgi. Przecież nie zmusi jej do skorzystania z jego pomocy.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, po czym Katherine otworzyła paczkę ciastek i poczęstowała go. Jedząc, obserwował ją i czuł pokusę, żeby pochylić się i pocałować jej usta. Skąd wzięły się te erotyczne myśli? Wyglądała niezgrabnie w tych ciężkim, burym ubraniu, z przesadnym makijażem, ale działała na niego bardzo mocno. Westchnął i poruszył się, żeby zerknąć na drzwi garażu, a potem spojrzął na zegarek.

- Pan ma ranczo? To nie jest pan policjantem?

- Od czasu do czasu pomagam policji, ale wolę prowadzić ranczo. To spokojniejsze zajęcie.

Spojrzała na niego, a Colin domyślił się, że powątpiewa w jego słowa, i znów zaciekało go, na czym polegają jej kłopoty.

- Myślę, że możemy już jechać - odezwał się, otwierając drzwi. - Szkoda tylko, że mój samochód trochę rzuca się w oczy, ale w mieście są jeszcze dwa takiego samego koloru.

Otworzył drzwi od garażu, wyprowadził samochód i zamknął z powrotem drzwi.

- Kiedy tu podjechaliśmy, drzwi od garażu były otwarte - zwróciła mu uwagę Katherine, kiedy usiadł za kierownicą.

- Ale były zamknięte, kiedy tamci przejeżdżali obok - odparł. - Powiem mojemu znajomemu, że tu byłem i je zamknąłem. - Wyjechał z bocznej uliczki i rozejrzał się, ale w pobliżu nie było widać żadnego czarnego samochodu. - Czy mam wysadzić panią w jakimś konkretnym miejscu? Może w centrum, bo tam będzie największy ruch.

- Dobrze - zgodziła się, znów kurczowo ściskając torebkę.

Minęli kilka przecznic, aż wreszcie Colin musiał skrócić w prawo. Przetarł dłonią w rękawicy tylne lustro i zobaczył czarny samochód, wyjeżdżający z parkingu i włączający się do ruchu w pewnej odległości od nich. Pojechał jeszcze kawałek prosto i skręcił w lewo. Po kilku sekundach zobaczył, że czarny samochód powtórzył jego manewr.

- Ma pani zły dzień - powiedział półgłosem. - Chyba złapaliśmy ogon.

ROZDZIAŁ DRUGI

Skręci! jeszcze raz i po chwili ponownie zobaczył z tyłu ten sam czarny samochód. Spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Nie zmieniła pani zamiaru?

Znów przygryzła wargę, a on był ciekaw, czy ona zdaje sobie sprawę, jak podniecająco przy tym wygląda. Może to wesoła panienka, która musi ukrywać się z jakichś powodów? Natychmiast jednak zmienił zdanie, gdyż przypomniał sobie, że kiedy wjechał do garażu i zamknął drzwi, ona wyglądała na wystraszoną, jakby obawiała się zostać z nim sam na sam.

Skręcił raptownie i objechał wkoło kwadrat ulic, ale gdy z powrotem znalazł się w tym samym miejscu, czarny samochód wciąż trzymał się za nimi.

- Mogę spróbować ich zgubić i zawieźć panią do Pawnee, chyba że koniecznie chce pani wysiąść przy stacji. Ale oni są bardzo blisko. Możemy też pojechać na policję. Tam zapewnią pani ochronę - dodał.

- Nie!

Spojrzał na nią, zaskoczony i zdziwiony tym okrzykiem, a ona odwróciła wzrok, nie na tyle szybko jednak, żeby nie zdołał zauważyć przerażenia w jej oczach. Jeszcze bardziej go to wszystko zaintrygowało. Dlaczego ona unika policji?

- Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, może pojedźmy do Pawnee.

Wplątałeś się w to wszystko na własne życzenie, pomyślał, mocniej ściskając kierownicę. A teraz masz jechać do Pawnee mimo burzy śnieżnej. Co ona zrobiła, że jest celem takiego pościgu? I jak to się stało, że on zapomina o wszystkim, starając się jej pomóc?

Kusiło go, żeby zwrócić się do policji. Oni uchroniliby ją przed pościgiem i odkryliby, dlaczego ucieka. Jeszcze raz zerknął na jej profil i skrzywił, żeby jechać w stronę Pawnee.

Jadąc tak szybko, jak tylko pozwalały warunki, kluczył przez kilkanaście minut po ulicach miasta, aż w końcu znaleźli się poza jego granicami. Z satysfakcją spojrzął we wsteczne lusterko, gdzie widać było jedynie pustkę i wirujący za samochodem śnieg. Odprężył się i zwolnił nieco, skręcając na autostradę.

Niestety, uczucie ulgi nie trwało długo. Zaniepokoił go początkowo słaby, ale z każdą chwilą wzmacniający się odgłos, przypominający uderzenia ostrych drobinek o podwozie samochodu.

- Przykro mi, ale nie możemy pojechać do Pawnee - zwrócił się do Katherine. - Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się dotrzeć do domu. Mój samochód radzi sobie ze śniegiem, ale na lód nie ma mocnych.

Ze zdziwieniem stwierdził, że ona patrzy na niego nieufnie.

- Nic pani przy mnie nie grozi. Przecież gdybym chciał pani coś zrobić, miałem świetną okazję wtedy w garażu - powiedział spokojnie. - Wiozę zakupy dla moich rodziców i musimy zatrzymać się u nich na chwilę. To po drodze - do-

dał, zastanawiając się, czy widok pary starszych ludzi uspokoi jej obawy.

- Dobrze - odparła niepewnym głosem.

- Skąd pani pochodzi? - spytał mimochodem. - Z Tennessee?

- Urodziłam się w Wirginii, ale potem wiele razy się przenosiłmy. A pan jest z Oklahomy?

- Tak. Moi- rodzice są Komańczami. Nasi przodkowie mieszkali tutaj od chwili, kiedy zostali zesłani na tereny rezerwatu. Przez kilka lat, po zakończeniu szkoły, przebywałem w Missouri, ale moja rodzina zawsze żyła tutaj.

- Jest pan żonaty?

- Moja żona nie żyje. A pani ma męża?

- Nie - odparła, zaciskając dłonie spoczywające na kolanach.

Zapanowała cisza. Słysząc było jedynie warkot silnika, szum wycieraczek i stuk odłamków lodu.

Katherine czuła, że jest przemarznięta do szpiku kości, chociaż ogrzewanie było włączone i w samochodzie panowało przyjemne ciepło. Zerknęła ukradkiem na mężczyznę za kierownicą. Udało mu się wywieźć ich oboje ze Stillwater, ale co teraz? Może czekają cośjeszcze gorszego? Wyglądał na silnego, miał wielkie dłonie, zaciśnięte w tej chwili na kierownicy. Takie dłonie mogłyby wyrządzić prawdziwą krzywdę.

Samochód zwolnił i skręcił w kierunku domostwa, przypiętego obok wysokich, bezlistnych topoli i pokrytych śniegiem cedrów. Z szerokiego komina wydobywała się smużka dymu.

- Tylko na chwilę. Proszę, niech pani wejdzie i pozna moich staruszków.

- Nie, dziękuję. Lepiej zaczekam tutaj w aucie.

Może powstrzyma go świadomość, że rodzice znajdują się tak niedaleko? Z doświadczenia wiedziała jednak, że rodzice nie stanowią żadnej gwarancji.

Colin zachowywał się tak, jakby nie słyszał jej protestów. Włożył na głowę kapelusz i obszedł samochód wkoło, aby pomóc jej wysiąść. Wzrost, szerokie bary, ciemna cera - to wszystko nadawało mu trochę „dziki” wygląd. Bała się go, ale jednocześnie w tej chwili był jej jedyną nadzieją.

Zatrzasnął drzwi samochodu, kiedy już wysiadła, i zaczął wyjmować bagaże, złożone z tyłu samochodu. W drzwiach domu stanęła wysoka kobieta, bardzo podobna do Colina, o takiej samej ciemnej skórze i wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych. Colin bez słowa wręczył Katherine dwie siatki i objuczony resztą pośpiesznie ruszył w stronę domu, wyraźnie starając się ją wyprzedzić.

- Droga była ciężka? - spytała matka, wędrując spojrzeniem od Colina do nieznajomej. Syn szybko pocałował ją w policzek.

- Nie pytaj o nic, mamó - szepnął. - Nic o niej nie wiem, ale znalazła się w tarapatach.

Wszedł na werandę i otrząsnął śnieg z butów, a następnie odwrócił się do Katherine.

- Mamó, to Katherine Manchester. Katherine - poznaj moją mamę, Nadine Whitefeather.

- Wejździe, przygotowałam gorącą czekoladę.

- Mamó, drogi są oblodzone. Powinniśmy jechać, dopóki jeszcze można.

- Ale czekoladę zdążycie wypić - odparła matka stanowczo i ruszyła do kuchni.

- Coś mi się wydawało, że kogoś słyszę- powiedział Will Whitefeather, wychodząc z pokoju.

Katherine ujrzała mężczyznę odrobinę tylko niższego od Colina, ale jeszcze potężniej zbudowanego. Mimo groźnej postury było w nim coś takiego, co sprawiło, że rozluźniła się. Potem jednak przypomniała sobie, jak często w przeszłości dawała się zwieść pozorom i w jakie kłopoty przez to się wpędziła.

- Tato, to Katherine Manchester. Katherine, przedstawiam pani mojego ojca, Willa Whitefeathera.

- Bardzo się cieszymy, że wpadliście do nas, choć dzisiaj taka paskudna pogoda.

Katherine pomyślała z uczuciem ulgi, że jej nazwisko najwyraźniej nic nie mówiło żadnemu z członków rodziny Whitefeatherów.

- Niech pani usiądzie, bo muszę przekazać rodzicom zakupy - odezwał się Colin. - Mama zaraz przyniesie czekoladę, a ja pomogę ojcu skruszyć lód i nakarmić bydło.

- Colin, jeśli musisz jechać, to ruszaj od razu. Jest ślisko, a w radiu słyszałem o jeszcze większym oblodzeniu i dużych opadach śniegu.

- Wezmę pani płaszcz.

Czekał, aż ona rozepnie tę swoją wielką kurtkę, a potem pomógł jej ją zdjąć i zawiesił na kołku.

- Proszę usiąść - powtórzył, wskazując na kuchenne krzesło.

Przesunął spojrzeniem po całej jej postaci w sięgającym niemal kolan fioletowym swetrze i stanął jak wryty. Katherine Manchester była w zaawansowanej ciąży, co najmniej w szóstym miesiącu.

Widziała, że jej się przygląda, i zaczerwieniła się. Nie całkiem przytomna, zdjęła kapelusz. Miała go na głowie od rana i mogła sobie wyobrazić, jak okropnie potargane są jej włosy. Podając Colinowi kapelusz, niechcący musnęła palcami jego dłoń i ten kontakt, który właściwie nie powinien być zauważony, wywołał u niej dreszcz.

Colin wciąż jej się przyglądał, ona zaś czuła się coraz bardziej nieswojo. Nie spodziewała się, że ktoś będzie tak patrzył na nią, no i była wytrącona z równowagi panującym między nimi napięciem. Jak między kobietą a mężczyzną. Nie przeżywała czegoś takiego od chwili, kiedy miała dwadzieścia lat.

Odwrocił się, żeby odwiesić swoje okrycie, a jej serce znów zabiło gwałtownie, gdy zobaczyła, jak pięknie jest zbudowany - szeroki w ramionach, z wąskimi biodrami i długimi nogami w przylegających do nich dżinsach. Odrzucił z czoła długie, czarne włosy i podszedł do ojca, którego tak bardzo przypominał sylwetką i rysami twarzy.

Starając się nie zwracać na niego uwagi, Katherine rozejrzała się po kuchni. Aromat gorącej czekolady przypominał jej dzieciństwo - czasy, kiedy wszystko było proste i dawało się przewidzieć. W oknach zawieszono białe-żółte zasłony, zaś na półkach ustawiono pnące rośliny. Od razu poczuła się tu bezpiecznie i zaczęła marzyć, że Colin pożegna się z nią i zostawi ją u rodziców do czasu, kiedy stopnieją śniegi.

- Tylko jeden kubek, mamó - zwrócił się do matki Colin - potem pomogę ojcu i zaraz ruszamy.

Wziął od matki kubek z parującą czekoladą, rozsiadł się na krześle i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Nie jest to znowu tak daleko - powiedziała matka Colina, uśmiechając się do Katherine.

Ciepły kubek przyjemnie ogrzewał jej palce, zapach był wyśmienity i dopiero kiedy przełknęła parę łyków czekolady, zdała sobie sprawę, jak dawno nie miała w ustach nic gorącego.

- Chodźmy, tato - powiedział Colin, odstawiając kubek i podnosząc się z krzesła.

Kiedy mężczyźni wyszli, Nadine zaczęła krzątać się po kuchni, przez cały czas opowiadając o przepisach kulinarnych albo o tym, jaki był Colin jako dziecko. Katherine zastanowił fakt, że matka Colina nie zapytała ją o nic. Być może syn zdążył jej coś szepnąć albo też miała w zwyczaju mówienie tylko o swojej rodzinie.

Czekała w napięciu, zdenerwowana tym, że za jakiś czas znów będzie musiała zostać sam na sam z Colinem. Wreszcie usłyszała, że drzwi się otwierają. Colin zajrzał do kuchni.

- Jeśli może pani wziąć płaszcz, to nie będę nawet wchodził. Musimy jechać, bo znów robi się ślisko.

Poszła po płaszcz, a Nadine pośpieszyła za nią, wycierając rękę w kuchenną ścierekę.

- To dobrze, że pani zatrzymała się na trochę u Colina - powiedziała. - Czasami martwi mnie to, że wciąż siedzi sam w domu. Zechce pani to wziąć - dodała, podając Katherine plastikowy pojemnik. - Tu jest chili. Colin umie gotować, ale jego możliwości są dość ograniczone.

- Dziękuję - odparła Katherine, odwracając się i patrząc na Nadine. - Cieszę się, że panią poznałam.

- Ja też. Życzę pani, żeby wszystko dobrze się ułożyło.

- Dziękuję - powtórzyła Katherine, zaskoczona.

Widocznie Colin zdążył powiedzieć coś matce, kiedy tylko przyjechali. Wyszła na dwór i zobaczyła, że on czeka przy schodach werandy. Kiedy schodziła na dół, poślizgnęła się na lodzie, ale on w ułamku sekundy był przy niej i otoczył silnym ramieniem. Było to nic więcej niż opiekuńczy gest, ale ona stała jak zmrożona.

- Dziękuję - powiedziała w końcu, starając się nie dać mu poznać, jak bardzo czuje się skrępowana. - Nic mi nie będzie - dodała, zwalczając chęć, by wyrwać się z jego objęć.

Po chwili już siedzieli w półciązarówce, a między nimi stał pojemnik z jedzeniem. Katherine bała się coraz bardziej, nie mogąc pozbyć się myśli, że oto została całkowicie sama na łasce nie dość, że nieznanego mężczyzny, ale jeszcze i do tego policjanta.

- Pana rodzina jest bardzo miła - odezwała się.

- Przeniosłem się tu z Oklahomy, żeby być bliżej rodziców. Pomagam ojcu w pracy, chociaż on wzbrania się z tego korzystać. Podsyłam mu też czasami swoich ludzi.

Zjechali teraz z szosy i Katherine dziwiła się w milczeniu, jak on może jechać, bo sama nie widziała żadnej drogi. Przez cały czas padał śnieg i było bardzo ślisko. Samochód posuwał się z prędkością nie większą niż kilkanaście kilometrów na godzinę. Wreszcie zatrzymali się, chociaż wkoło nic nie było widać.

- Zaraz wracam. Muszę zamknąć bramę - powiedział Colin i wysiadł. Zatrzasnął za sobą drzwi, ale i tak do środka samochodu wpadły wirujące płatki śniegu, które zaraz stopniały na siedzeniu.

Przez okno widziała, jak Colin zamyka szeroką, dwu-

skrzydłową bramę. Potem wsiadł z powrotem i ruszył powoli. Znow jechali przez świat pokryty bielą, z którego co jakiś czas wyłaniały się i znikwały równie białe obiekty. Katherine drżała ze strachu, chociaż powtarzała sobie, że zachowuje się jak idiotka.

W końcu ukazał się duży budynek z garażem. Colin zatrzymał samochód i otworzył drzwi pilotem. Kiedy wjeżdżali do środka, strach już niemal paraliżował Katherine. Garaż był na trzy miejsca i w tej chwili stał tam jedynie dżip.

Colin wysiadł, a Katherine już chciała pójść w jego ślady, kiedy zauważyła jakiś cień, który wynurzył się z kąta, a za nim podążał drugi. Serce podeszło jej do gardła, ale zaraz odetchnęła z ulgą, bo Colin pogłaskał zwierzęta i przywitał się z nimi.

- To jest Buster - powiedział. - A wilk nazywa się Lobo.
- Czy on naprawdę jest wilkiem? Trochę boję się wyśiąść...

- One są łagodne jak owieczki. Wiedzą, że jeśli pani przyjechała ze mną samochodem, to jest pani moim gościem. Siadać.

- Nie trzeba, już dobrze - odparła. - W pierwszej chwili się wystraszyłam, ale nie boję się psów.

- Buster to collie, a Lobo to rzeczywiście wilk. Znalazłem go, kiedy był szczeniakiem, daleko w górach. Był ranny, więc wziąłem go do domu.

- A więc zdarzało już się panu przyprowadzać zagubione istoty do domu? - spytała z bładym uśmiechem.

- Na razie jest was dwoje - odparł, biorąc bagaże.

Katherine wzięła pojemnik z chili i podążyła za Colinem, bezpośrednim przejściem z garażu do domu. Kuchnia była

nowocześniejszej urządzona niż u jego rodziców, z sosnowymi szafkami i dużym kominkiem. Miała kształt litery L, której dłuższe ramię było jadalnią, również z sosnowymi meblami, wyściełanymi granatowo- -bordową tapicerką i z jeszcze większym kominkiem. Całość była przytulna, w wiejskim stylu, ale widać było, że mieszka tu mężczyzna. Psy też weszły do kuchni i zajrzały do pustych misek.

- Proszę się rozgościć - powiedział Colin, zdejmując kurtkę i wieszając na kołku. - W domu jest tylko jedna sypialnia, ale kanapa w tym pokoju bardzo dobrze nadaje się do spania. Wszystko pani pokażę, tylko najpierw muszę rozpałić ogień.

Posłusznie zdjęła okrycie. Było jej zimno i czuła się zdenerwowana. Colin zachowywał się tak, jakby zapomniał o jej istnieniu. Rozpakował przyniesione zakupy, a potem podniósł słuchawkę telefonu. Po kilku słowach zorientowała się, że rozmawia z kimś w rodzaju zarządcy. Uświadomiła sobie, iż w ogóle nie brała pod uwagę faktu, że na ranczu są też inni ludzie.

- Bud, powiedz wszystkim, że zamknąłem bramę i włączyłem alarm - mówił do swojego rozmówcy. - Jest ze mną pewna osoba, którą ścigają jacyś faceci. Sądzę, że są niebezpieczni - dodał, rzucając na Katherine ukradkowe spojrzenie.

Poczuła, że znowu zaczyna się bać. Nie pomyślała, ile przypadkowych osób przez nią znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Jeśli zobaczycie jakichś obcych, bądźcie ostrożni i natychmiast dajcie mi znać. Są uzbrojeni. Gdy ktokolwiek usłyszy strzał, natychmiast niech dzwoni na policję. Wypuszczę teraz psy. Co? Dobrze, dzięki. No to do jutra.

- Naraziłam was na niebezpieczeństwo - odezwała się.

- Nie sędzę, żeby coś nam groziło, chciałem tylko, żeby moi ludzie byli czujni. Niech się pani tym nie przejmuję.

Zaczął układać drewno w kominku, a ona przyglądała się mu, wcale nie uspokojona.

- Chodźmy - powiedział wreszcie, gdy ogień zapłonął.
- Pokażę pani mój dom.

Poszła za nim posłusznie, wciąż mając torbę przewieszoną przez ramię i trzymając ją przyciśniętą do boku. Starła się nie przebywać nazbyt blisko Colina - wyglądał tak potężnie i żeby spojrzeć mu w oczy, musiała unosić w górę głowę, co do tej pory, przy jej wzroście, nie zdarzało się często. Sloan też był od niej wyższy tylko o parę centymetrów.

Zajrzała do łazienki ze staroświecką wanną na nóżkach, a następnie do pokoju Colina.

- Przepraszam za nieporządek, ale nie spodziewałem się wizyty.

Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, był przepiękny widok przez szerokie okna i oszklone drzwi, wychodzące na taras. Padający nieustannie śnieg sprawiał, że otoczenie wyglądało jak na świątecznej karcie. Rozejrzała się po pokoju.

Meble miały taką samą tapicerkę jak reszta domu. Na szerokim łóżku leżała zmięta pościel, na krześle dzinsy, zaś z telewizora zwisała koszula.

- Trudno byłoby nazwać mnie pedantem - stwierdził Colin, uśmiechając się.

Niespodziewanie ten uśmiech sprawił, że serce Katherine jakby zatrzymało się na moment, a potem zaczęło bić ze zdwojoną szybkością. Śnieżnobiałe zęby Colina pięknie kontrastowały z opaloną skórą, a rysy nie wydawały już się jej tak surowe. Zaskoczyła ją jej własna reakcja. Aż do tej chwili

gotowa była założyć się o cały swój majątek, że dużo czasu upłynie, zanim spodoba jej się jakikolwiek mężczyzna.

- Nie przeszkadza mi bałagan - odparła. - Najważniejsze, że mam schronienie na czas burzy.

- A więc poznała już pani mój pałac. Możemy teraz odgrzać to chili od mamy. Lubi pani chili?

Widział, że wciąż jest zdenerwowana i przez cały czas przyciska do boku torebkę. Przypuszczał, że gdyby rozległ się jakiś głośniejszy dźwięk, podskoczyłaby niemal do sufitu. Przypominała żrebaka, którego kupił kilka lat temu i który był śmiertelnie wystraszony, ilekroć ktoś się do niego zbliżył. Domyślał się wtedy, że poprzedni właściciel musiał go bić. Wiele trudu kosztowało go oswojenie zwierzęcia i ułożenie go do jazdy.

- Tak. U pana rodziców pachniało bardzo apetycznie.

Oboje krzatali się przy kolacji. Colin odgrzał chili, zaś Katherine przygotowała sałatę. Musiała odłożyć torbę, ale starała się nie spuszczać z niej wzroku. Mimo wszystko udało mu się ukradkiem wziąć ją do ręki. Była ciężka, więc uznał, że ma w niej pistolet.

Kim ona jest? Włosy ma spięte w kok, a oprócz małych kolczyków nie nosi żadnej biżuterii. Nie wygląda na panienkę z Las Vegas. Może w grę wchodzi pieniądze? W końcu ścigała ją aż trzech mężczyzn.

W milczeniu zjedli kolację, a Colin spoglądał w ciemność za oknem. Teraz jest burza, więc nic im nie grozi. Ciekawe, gdzie zatrzymali się tamci faceci? Może w motelu w Stillwater? Musieli gdzieś się skryć. W taką pogodę nikt nie byłby w stanie kontynuować pościgu.

- Może włączę telewizor? - spytał, sięgając po pilota.

- Nie! Proszę, nie.

Katherine aż zbladła z przerażenia. Patrzył jej prosto w oczy, a ona pochyliła głowę.

- Nie zgadza się pani, żeby zawiadomić policję. Nie chce pani nawet oglądać telewizji. Chyba najwyższy czas, żeby opowiedziała mi pani, na czym polegają jej kłopoty.

ROZDZIAŁ TRZECI

Serce w niej zamarło. Właściwie mogła się spodziewać, że Colin jednak czegoś się domyśli, ale minęło już tyle czasu od momentu, kiedy wsiadła do jego samochodu, że w końcu zapomniała o obawach. Teraz patrzyła, jak siedzi, spokojnie czekając na jej odpowiedź, i uświadomiła sobie, że jest to człowiek, który nade wszystko respektuje prawo. Oblała ją zimny pot. O ile wiedziała, Sloan nie zwrócił się do policji, żeby ją odszukała, ale przecież w każdej chwili mógł to uczynić.

Żeby zyskać na czasie, upiła łyk wody i wytarła palcami kąciki warg.

- Jestem rozwiedziona, ale mąż znęcał się nade mną.
- Jeśli się rozwiedliście, to dlaczego pani wciąż się go boi?

Próbowała naprędce wymyślić jakieś kłamstwo, ale jedno spojrzenie w czujne oczy Colina wystarczyło, by zrezygnowała z tego zamiaru.

- Jestem w ciąży i on chce, żebym wróciła..
- Zależy mu na dziecku?
- To moje dziecko - odparła gwałtownie i zdała sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć zbyt obcesowo. - Może nie mówmy już o tym, bo przecież jutro mnie tu nie będzie

- zaproponowała nieśmiało, w nadziei że Colin przestanie ją wypytywać.
- Zaraz, zaraz, przecież ściga panią trzech zawodowców
- przerwał jej Colin. - Za tym musi stać ktoś bogaty i mający władzę. Udzieliłem pani schronienia, więc również ponoszę ryzyko. Chcę tylko wiedzieć, jak wielkie ono jest. Nie mam zamiaru zatelefonować do pani byłego męża, ale muszę być świadomy tego, przeciw komu występuję.
- To nie ma znaczenia. Odjadę, kiedy tylko przestanie padać, a oni przecież nie dotrą tutaj.
- Proszę pani, jest jeszcze druga strona medalu. Oni mogą dojść do wniosku, że powiedziała mi pani o czymś - nie wiem - wielomilionowej malwersacji czy ukrytych zwłokach. Wtedy nawet po pani odejściu nie będę bezpieczny.
- Och, nie! Nie chodzi o nic takiego. Po prostu miałam okrutnego męża, który teraz za wszelką cenę chce mnie odzyskać. - Dostrzegła niedowierzanie w jego wzroku i znów zastanawiała się, co ma powiedzieć. - Czy moje nazwisko nic panu nie mówi?
- Katherine Manchester? Nie - odparł, potrząsając głową. - A powinno?
- Moim byłym mężem jest Sloan Manchester.
- ,- To już zabrzmiało bardziej znajomo - powiedział, zastanawiając się, gdzie mógł słyszeć to nazwisko. - Aha, kandydat na gubernatora Luizjany. Ropa naftowa i wielkie pieniądze.
- Zgadza się - odparła Katherine z westchnieniem. - Jego ojcem jest Tyson Manchester, właściciel Manchester Oil. I ludzie z jego otoczenia pragną, by Sloan został gubernatorem.

- Nie sędzę, żeby kandydat na gubernatora chciał ryzykować, że wyjdzie na jaw pościg za byłą żoną albo co gorsza, zabieranie jej dokądkolwiek wbrew jej woli. To niezgodne z prawem.

- Nikt by się o tym nie dowiedział.

- Może pani zwrócić się do prasy, oddać pod opiekę policji.

- Nie! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

Wyglądała, jakby miała zamiar wybiec na dwór mimo szalejącej burzy, więc Colin wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Katherine odskoczyła gwałtownie.

- Hej, spokojnie - powiedział, unosząc w górę dłońe.

- Przysięgam, że nie zrobię pani krzywdy.

Widać było, że ona stara się trzymać jak najdalej od niego, a Colin myślał o tym, jakimż to potworem musiał być Sloan Manchester.

- Niech pani usiądzie i porozmawiamy. Nie zadzwonię na policję, chyba że pani sama o to mnie poprosi.

Ogarniał go gniew. Jej były mąż startuje w wyborach do władz stanowych, a ona siedzi tutaj, w jego kuchni, w zaawansowanej ciąży. Ukrywa u siebie kobietę, której szuka najpotężniejszy człowiek w całej okolicy. Zastanawiał się, w co się teraz pakuje. Nie mieszaj się do tego, zostaw ją samą, mówił mu jakiś głos. Pozwól jej odejść.

- Jak tylko minie burza, zniknę z pańskiego życia - powiedziała.

- Usiądźmy - powtórzył Colin. - Może pani chce być bliżej kominka? Później przygotuję coś do jedzenia.

Katherine skinęła głową, ale nie poruszyła się. Stała tylko, czekając, jakby bała się podejść do niego. Colin okrążył stół

i dołożył dREW do ognia, a potem znów odwrócił się do niej. Siedziała skulona w fotelu, a w tym wielkim swetrze wyglądała jak małe, zagubione dziecko.

- Naprawdę ma pani rozwód?

- Tak. Kiedy wniosłam sprawę rozwodową, Sloan był związany z inną kobietą, no i wtedy nie zaistniał jeszcze na scenie politycznej, więc chętnie wyraził zgodę. - Spuściła wzrok na złożone na kolanach dłonie, a Colin podążył śladem jej spojrzenia. Miała szczupłe, długie palce z krótko obciętymi paznokciami. - Okazało się, że trafiłam na jedyny właściwy moment. Uzyskałam rozwód bez problemów, ale on natychmiast po wyroku zaczął tego żałować. Zdaje się, że po prostu chce mieć zawsze to, czego mieć nie może - dodała gorzko.

- Zostawiłam wszystko, co należało do niego, i wzięłam ze sobą tylko swoje osobiste, niewielkie oszczędności. Na szczęście jego rodzice byli wtedy w Europie, bo przecież jego ojciec nigdy nie pozwoliłby mu się rozwieść. Od dawna miał wielkie plany, jeśli chodzi o jego polityczną karierę.

Colin czuł na plecach ciepło z kominka. Podeszedł bliżej do fotela, na którym siedziała Katherine. Jeśli mówiła prawdę, to dlaczego była tak przerażona i nie chciała oddać się pod opiekę policji? Powstrzymując chęć dotknięcia jej, włożył ręce do kieszeni i zacisnął dłonie w pięści.

- Pani mąż zgodził się na rozwód i jeśli zapadło prawomocne orzeczenie, on nie może domagać się pani powrotu.

- On naprawdę wiele może, a już zwłaszcza jego ojciec. Potrafią przekupywać albo siłą zmuszać ludzi, żeby robili dokładnie to, czego oni chcą - odparła z lekkim grymasem

bólu. - Mają wysoko postawionych przyjaciół, potrafią nawet opłacić sędziów.

- W takim razie na pewno nie można dopuścić, żeby pani były mąż został gubernatorem.

- Nie potrafię z nim walczyć. On obróci wszystko przeciwko mnie.

- Dla niego nie byłoby dobrze, gdyby wyszło na jaw, że stosował przemoc albo siłą usiłował skłonić panią do powrotu. To byłoby nawet przestępstwo, porwanie.

- Mój ojciec siedział w więzieniu za defraudację - powiedziała Katherine, patrząc Colinowi prosto w oczy. - Sloan często powtarzał, że w mojej rodzinie jest zła krew. Nasza rodzina jest tu zakorzeniona od dawna, moi przodkowie byli żołnierzami Konfederacji, więc bywaliśmy przyjmowani w szanowanych, konserwatywnych kręgach Nowego Orleanu, ale Sloan powiedział, że zrobi tak, żeby wszyscy uważali mnie za najgorszą dziwkę ze skorumpowanej rodziny. Muszę przecież myśleć o przyszłości mojego dziecka.

Colin zaklął pod nosem, a potem wyciągnął rękę, chcąc dotknąć Katherine lekko, żeby uniosła spuszczoną teraz głowę, ale ona skuliła się i zadrżała. Wsadził więc dłonie z powrotem do kieszeni.

- Katherine, przecież pani nie uderzę - odezwał się cicho, przeklinając w duchu Sloana Manchestera. - Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety.

- Przepraszam, to było odruchowe - odparła, spoglądając na niego wzrokiem, z którego powoli ustępował strach.

Tak chciał ją objąć, otoczyć ramionami i utulić, zapewnić, że przy nim jest bezpieczna. Jasne, pomyślał. Najpierw sam siebie o tym przekonaj. Tamci faceci na pewno nie zrezyg-

nowali. Burza śnieżna może zatrzymać ich na trochę, ale i tak dowiedzą się, kto jeździ niebieskim pikapem i gdzie mieszka. W tym pogoda im nie przeszkodzi.

Co takiego jest w tej kobiecie, że budzi w nim opiekuńcze instynkty? Jest wysoka, prawie tak wysoka jak on, niezależna i najwyraźniej jest w stanie żyć samodzielnie, a także uciec tamtym prześladowcom. I co najdziwniejsze, budzi w nim pożądanie. W tym przesadnym, dziwacznym makijażu, ubra- niu jak wyciągniętym ze śmietnika i co najmniej sześciomie- sęcznej ciąży!

- Sądzę, że znaleźliby się prawnicy, którzy chętnie udzie- liliby pani pomocy.

- Sloan ma naprawdę potężnych przyjaciół - odparła, po- trząsając głową. - Nie uwierzyłyby pan, do czego on jest zdolny. Kiedyś myślałam, że uda mi się znaleźć jakąś ochronę przed jego brutalnością, ale okazało się, że wszyscy trzymają z nim.

- Wątpię, żeby tutaj też miał taką władzę.

- Zawieźliby mnie z powrotem do Luizjany i umieścili w zamkniętym zakładzie. Sloan wszystkim by powiedział, że postradałam zmysły. Wiem, że tak by zrobił. Nie mogęjechać na policję.

- Dobrze, nie zawiadomimy policji, ale moim zdaniem to błąd.

- Nie, bo wiem, co było dawniej, kiedy próbowałam uzy- skać jakąś pomoc - powtórzyła z uporem.

- Co chce pani zrobić? W jaki sposób ma pani zamiar uciec?

- Muszę się dostać do Kalifornii. Mam tam przyjaciół, którzy pomogą mi się ukryć. Sloan nie będzie mnie tam

szukał. Zresztą, kiedy się okaże, że został pokonany w wyborach, szybko o mnie zapomni. Jeśli zostanie teraz wybrany, nie będzie mnie potrzebował. Na razie sądzi, że korzystniej się przedstawi, jeśli będę stała u jego boku, no i niepokoi go fakt, że wymknęłam się spod jego kontroli.

- Czy naprawdę otrzymała pani rozwód?

- Mówię prawdę, mam rozwód.

- Jeśli tak, to przecież reporterzy mogą szybko wyśledzić jego stan cywilny.

- On też kontroluje prasę i łatwo podsunie im historię o mojej chorobie umysłowej. Na razie jeszcze kampania wyborcza się nie rozpoczęła. Nie chciałam przysparzać panu kłopotów - mówiła dalej, widząc ponurą minę Colina. - Oni na pewno pana nie znajdują.

- Dowiedzą się, kto jeździ niebieskim pikapem, ale dziś na pewno nas nie znajdują. Kiedy dziecko ma się urodzić? Pewnie w marcu albo kwietniu?

- Nie, termin przypada na następny tydzień.

- Następny tydzień? Nie wygląda pani na tak zaawansowaną ciążę.

- Może to z powodu mojego wzrostu.

Nawet nie słyszał jej odpowiedzi. Ogarnął go gniew na nią, że była tak nieostrożna, że nie brała tego pod uwagę.

- Pani teraz nie powinna nigdzie jechać, tylko odpoczywać pod opieką krewnych czy przyjaciół i szykować się do pójścia do szpitala. Na pewno nie przemierzać cały kraj, uciekając przed trzema zbirami. - Miał ochotę potrząsnąć nią porządnie, ale ona potrzebowała nie potrząśnięcia, tylko oddanego, czułego męża. - Gdzie mieszka pani matka?

- Umarła rok temu. Nie mam żadnej rodziny. Ale nic mi się nie stanie. Pójdę do szpitala, kiedy poród się zacznie.

- Czy chociaż badał panią jakiś lekarz?

- Tak, chodziłam regularnie na wizyty.

- Cholera, trudna sytuacja - powiedział Colin. - Dziecko lada moment się urodzi, a pani nie ma żadnych potrzebnych rzeczy, no bo ile można zmieścić w tej torbie? Co z ubrankami, pieluchami, odżywkami? Jeśli tamci faceci znajdą panią, to zabiorą was oboje do Luizjany.

- Przecież nie mogą chyba ukraść dziecka ze szpitala? Miałam nadzieję, że uda mi się bezpiecznie dotrzeć do Kalifornii, zanim nadejdzie czas porodu. Ta cała burza wszystko skomplikowała. Jeszcze dziś rano wydawało mi się, że ich zgubiłam. Planowałam złapać samolot z Tulsa do Denver, a stamtąd polecieć do San Francisco.

- Niestety, to już niemożliwe. Ma pani przyjaciółkę w San Francisco?

- Tak. Paula wie o dziecku, a jako że sama ma małą córeczkę, odłożyła dla mnie wszystkie ubranka i inne niemowlęce rzeczy.

- Wie pani, że dzieci nie zawsze przychodzą na świat w ustalonym terminie?

Powinien już przestać naciskać na nią, ale nie mógł przejść do porządku dziennego nad faktem, że w ogóle nie przygotowała się do porodu. A ona, nie bacząc na jego gniew, uśmiechnęła się nagle tak promiennie, że pomimo okropnego stroju i makijażu wyglądała uroczo i Colin zrozumiał, dlaczego były mąż chciał ją z powrotem odzyskać.

- Nic się nie stanie - odparła spokojnie. - Dziecko też będzie zdrowe.

- Miała pani robioną ultrasonografię? Wiadomo może, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

- Tak i nie. To znaczy miałam robioną ultrasonografię i wszystko jest w porządku, ale nie chciałam zawczasu znać płci dziecka i prosiłam, żeby mi tego nie mówili.

Przez chwilę patrzył na nią w konsternacji.

- Kiedy ta burza się skończy, a pani wciąż nie będzie chciała zawiadomić policji, odwiozę panią do Tulsy i wsadzę do samolotu lecącego do Kalifornii.

- Będę panu bardzo wdzięczna - odparła cicho.

- Chce pani zadzwonić do tej przyjaciółki w Kalifornii?

- Paula wie, że przyjadę w tym tygodniu. Mam zatelefonować do niej z lotniska, kiedy już będę na miejscu.

Colin zastanawiał się, czy ona rzeczywiście ma tam jakąś przyjaciółkę, ale przecież nie miałaby powodu kłamać. Prawie jej nie znał i co go to w gruncie rzeczy obchodzi. Tydzień przed terminem! Ta świadomość wciąż nie dawała mu spokoju.

- Jeszcze trochę czekolady? - spytał, usiłując uspokoić i ją, i siebie. - Jest wciąż ciepła, bo stoi na płycie.

- Chętnie, jest bardzo dobra.

Poszła za nim do kuchni i przetarła stół, a on tymczasem napełnił kubki.

- A co z pani samochodem? Pewnie wciąż tam stoi w Stillwater.

- On był z wypożyczalni. Zapłaciłam z góry do wczoraj włącznie, a resztę należności mogę potem przesłać pocztą. Zdążyłam wczoraj zadzwonić z restauracji i powiedziałam im, gdzie stoi. Wynajęłam go na fałszywe nazwisko, więc trudno im będzie mnie zidentyfikować.

Colin w milczeniu skinął głową.

- Gdzie pani poznała Sloana? - spytał po chwili.
- Kiedy kończyłam szkołę średnią, on był najpopularniejszym graczem stanowej drużyny baseballowej. Byłam nim oczarowana. Pobraliśmy się po roku znajomości. Teraz mam dwadzieścia trzy lata.

To też go zaskoczyło, ale pomyślał, że widocznie ten makijaż i uczesanie sprawiły, że wygląda na znacznie starszą. Chciał zdjąć jej chociaż te wielkie okulary, ale przypomniał sobie o jej strachu i cofnął rękę.

- Mogę? - spytał, a ona niepewnie skinęła głową.

Wstrzymała oddech, kiedy delikatnie dotknął jej skroni i zdjął okulary. Nałożył je sobie na nos i spojrział przez nie. Miały zwykłe szkła.

- Chciałam zmienić swój wygląd. Niełatwo ukryć się w tłumie, kiedy ma się ponad metr siedemdziesiąt wzrostu.

- A więc była pani żoną Sloana przez ładnych parę lat - zauważył, odkładając okulary na stół.

- Nie tak łatwo zerwać tego rodzaju więzy. Na początku myślałam, że to się może zmienić - powiedziała, czerwieniąc się.

- Przepraszam panią, to przecież nie moja sprawa.

- Nie mam pretensji, że pan o to pyta. Sloan był taki przystojny, sławny, wszyscy go podziwiali. Odnosił sukcesy na każdym polu, zaś mnie dawał do zrozumienia, że jestem do niczego - odparła cicho.

- Ma pani jakieś dowody na to, że używał przemocy? Na wypadek, gdyby skierował sprawę do sądu?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Wszystkich opłacił i przekupił, a jeśli on coś przeoczył, zadbał o to jego ojciec.

- Musi być ktoś, kto mu się oprze - powiedział Colin z gniewem. - Mogę poszukać kogoś takiego, jeśli pani będzie chciała.

- Nie! Proszę, niech pan tego nie robi. Sloan potrafi być bezwzględny. Nie chcę, żeby ktoś ucierpiał z mojego powodu, a tak na pewno się stanie, jeśli dowie się, że ktoś węszy wokoło niego.

- Nie obawiam się Sloana Manchesterera - oświadczył Colin cicho, ale z nie skrywanym gniewem.

- Proszę, niech pan mi obieca, że nie będzie pan próbował, dził żadnego śledztwa w Luizjanie.

Colin widział, jak bardzo ją to przeraziło, więc skinął głową.

- Przyrzekam. I proszę pamiętać, że nigdy pani nie skrzywdzę.

Spojrzała na niego zdziwiona. On sam był zaskoczony, gdyż nie miał zamiaru składać takich deklaracji. Zabrzmiało to tak, jakby sugerował, że ich znajomość będzie miała jakiś ciąg dalszy.

A potem na jej twarzy zagościł cień uśmiechu, który rozświetlił jej rysy i sprawił, że Colin na moment przestał oddychać. Coś ciągnęło go do niej, kazało zapomnieć o przeszłości i Sloanie Manchesterze. Zaprzagnął poznać ją lepiej i ochraniać. Jak ona wygląda naprawdę? Bez makijażu, z rozpuszczonymi włosami?

- Mogę rozpuścić pani włosy? - spytał, czując, że cała sytuacja staje się absurdalna.

Katherine patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i bez słowa skinęła głową. Ostrożnie wyciągnął rękę i zaczął powoli wyjmować szpilki, starając się nie dotykać włosów

i unikając kontaktu z jej wzrokiem, jakby bał się zatopić w głębokiej zieleni jej oczu.

Kiedy zobaczyła, że jego ręka zbliża się do niej, jej serce na moment przestało bić. Zmusiła się do pozostania na miejscu, ale postanowiła, że odsunie się przy jego najmniejszym podejrzanym geście. Czyżby miał na nią ochotę? Powierzyła się całkowicie jego łasce i być może trzeba będzie ponieść konsekwencje, gdyż nie uda jej się wydostać stąd podczas burzy.

Czuła, jak palce Colina delikatnie muskają jej włosy. Już dawno temu Sloan zniszczył wszelkie fizyczne przyciąganie, jakie mogłaby czuć do niego. Seks stał się koszmarem i nie mogła znieść dotyku swojego męża. A od czasu, kiedy jeszcze w szkole zaczęła się z nim spotykać, nie było w jej życiu żadnego innego mężczyzny. Fakt, że ktoś chce po prostu dotykać jej włosów, wprawiał ją w najwyższe zdumienie.

Nie potrafiła odgadnąć myśli Colina. Jednak zachowywał się tak spokojnie, że w końcu się odprężyła. Zaczęła przyglądać mu się i stwierdziła, że ma bardzo gęste rzęsy i że jego rysy są zbyt toporne, żeby można było nazwać go przystojnym. Cerę miał ciemną, a na dole twarzy widniała jasna blizna.

- Dlaczego pan to robi? - spytała cicho.

- Chciałem zobaczyć, jak pani wygląda z rozpuszczonymi włosami.

Jego głos był głęboki i spokojny. Jeszcze nigdy nie przeżyła czegoś takiego, nawet podczas okresu małżeństwa ze Sloanem. Chciała wypowiedzieć jakiś swobodny komentarz, który rozładowałby sytuację, ale nie potrafiła. Przez całe popołudnie i wieczór czuła zdenerwowanie i nie opuszczała

jej świadomość, że Colin jest taki wielki i silny. A teraz przeczesywał delikatnie palcami jej włosy, aż powoli uwolnił wszystkie sploty, które opadły na jej ramiona, sięgając niemal do pasa.

- Jakie długie ma pani włosy - odezwał się nieswoim głosem.

Zdawał sobie sprawę, że zaczyna się ujawniać jej uroda, ukryta do tej pory pod przebraniem. Włosy były spływającą w dół kaskadą jedwabiu, która przywoływała w wyobraźni erotyczne obrazy - widok ich rozsypanych na jej nagim ciele.

- To nie jest ich prawdziwy kolor - powiedziała.

- Naprawdę są rade, prawda?

- Tak. Ufarbowałam je, żeby nie poznali mnie ci, których wysłał za mną Sloan. Nic nie pomogło.

- To byli zawodowcy. Poza tym to prawda, co pani przedtem powiedziała - jest pani za wysoka, żeby ukryć się w tłumie. A teraz proszę się odwrócić. Zrobię pani masaż pleców - dodał, usiłując zapanować nad tamtymi myślami.

- Dziękuję, nie trzeba - odparła.

Colin przyglądał jej się wzrokiem, jakiego nigdy nie widział u Sloana. Cierpliwym, otwartym.

- Niech się pani odwróci - powtórzył. - Zobaczysz pani, jak to jest, kiedy ktoś jest dla pani dobry.

Delikatnie, jakby były z kryształu, uniósł jej włosy, a ona sięgnęła przez ramię i przerzuciła je do przodu. Colin dotknął lekko jej barków, a ona zesztyniała i wstrzymała oddech. Dotyk stał się jeszcze delikatniejszy.

- Obiecałem, że nigdy pani nie skrzywdzę. Proszę mi zaufać. Niech pani sobie wyobraża, że jest w Kalifornii i przyjaciółka masuje pani plecy.

Katherine drżała. Czuła się bezbronna, tak jak kiedyś. Na początku małżeństwa Sloan też zachowywał się delikatnie, a potem zaczął przeklinać ją i zadawać jej ból. Na wspomnienie tamtych sytuacji znów zeszytywniała i głośno wciągnęła powietrze. Dłonie Colina natychmiast znieruchomiały.

- Wszystko dobrze, proszę się uspokoić. Jest pani taka spięta. Przecież przyrzekłem, że nie skrzywdzę pani - wyszeptał, zaczynając po chwili jak najdelikatniej masować stwardniałe jak kamień mięśnie. Po chwili napięcie zaczęło ustępować, a Katherine rozluźniła się. Zaczęła mu ufać, ale zastanawiała się, czy będzie tego żałować.

- Wierzę panu. Niech pan mnie nie zawiedzie, bo nie pamiętam już, kiedy ostatni raz zaufałam mężczyźnie.

Mówiła chyba bardziej do siebie niż do niego, ale Colin usłyszał ostatnie słowa. Zapragnął chwycić ją w ramiona, utulić, zapewnić o tym, że teraz jest bezpieczna. Tyle że nie mógł tego zrobić, bo prawda wyglądała inaczej. Był w stanie zapewnić jej ochronę tylko na czas, kiedy zostanie pod jego dachem, prawdopodobnie krótszy niż dwadzieścia cztery godziny.

- Mówił pan, że nie jest pan żonaty - odezwała się, uśmiechając się leciutko. - Ale na pewno z kimś się pan spotyka.

Potrząsnął przecząco głową, patrząc jej prosto w oczy. Były ocienione gęstymi rzęsami, o rudawym odcieniu. Widocznie nie umalowała ich, tak jak resztę twarzy. Miał ochotę wziąć chusteczkę i poscierać wszystko, ale bał się, że ona znów się wystraszy.

- Nie. Nie widuję się z nikim, od kiedy Dana nie żyje.

- Od dawna?

- Od dwóch lat, pięciu miesięcy i mniej więcej dziesięciu dni.

- Musiał pan bardzo ją kochać - powiedziała ze zdziwieniem.

- Bo tak było.

- Och, Colin, tak mi przykro.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu i właściwie oboje byli tym zaskoczeni. Katherine odwróciła się, żeby mógł kontynuować masaż. Colin czuł, jak delikatna jest jej budowa, jak szczupłą ma figurę pod tym grubym swetrem.

- Jak zamierzasz zarabiać na życie?

- Uczę się korespondencyjnie księgowości i już stosunkowo niedługo ukończę te kursy.

Przez jakiś czas panowała cisza, aż wreszcie przerwała ją Katherine.

- Dziękuję. To rzeczywiście mi pomogło.

Zrzuciła buty i wyciągnęła nogi w stronę kominka. Patrząc na nią, Colin nie mógł uwierzyć, że do rozwiązania został tydzień.

- Mówiłaś, że chodziłaś na badania. Czy lekarz stwierdził, że dziecko będzie małe?

- Nie, ostatnim razem powiedzieli, że będzie ważyło około trzech kilogramów.

- Naprawdę nie wyglądasz, jakbyś niedługo miała urodzić.

- Skąd tyle o tym wiesz?

- Tak naprawdę to nie wiem. Pracowałem od czasu do czasu z kobietami w ciąży, no i sam odebrałem dwa porody.

- Naprawdę? - zawołała Katherine, uśmiechając się tak, że serce zabiło mu mocniej. - W takim razie przypadkowo znalazłam się w dobrych rękach.

- Nie mów tak. Za każdym razem byłem śmiertelnie wystraszony. Jedna z tych kobiet została odcięta od świata przez powódź, a druga zaczęła rodzić w samochodzie, wiozącym ją do szpitala. Zdaje się, że jedno z dzieci ma na imię Colin.

Zaśmiała się, a on zamarzył o tym, żeby tak mogło być przez cały wieczór.

- Zimno? - spytał. - Mogę jeszcze dołożyć parę polan do ognia.

- Nie trzeba. Teraz mogę sobie ogrzewać stopy.

- Co by się stało, gdybyś zatelefonowała do lokalnej gazety i opowiedziała o kandydacie na gubernatora?

- Już kiedyś spróbowałam - odparła Katherine, a w jej oczach na nowo pojawił się strach. - Ale okazało się, że on całkowicie kontroluje prasę. Wszędzie ma kumpli.

- Nie jest przecież w stanie kontrolować wszystkich gazet, co do jednej. Musisz szukać dalej.

- Nie mogę. Nie mam żadnych dowodów i nie chcę robić niczego, co mogłoby sprowokować Sloana. Przecież on mógłby użyć wszystkich swoich sił, żeby odebrać mi dziecko.

Colin nie wyglądał na przekonanego i Katherine pomyślała, że on należy do tych osób, które do upadłego walczą o sprawę, jeśli uważają ją za słuszną.

- Myślisz, że mógłby skrzywdzić własne dziecko? - spytał.

- Jestem przekonana, że wzięłby niemowlę i wynajął kogoś do opieki, bylebym tylko ja nie mogła się do niego zbliżyć. On jest okrutny, samolubny i chorobliwie ambitny. Ma też głowę do interesów, jest urodzonym przywódcą, ale nie ma ani odrobiny serca. Tak samo jak jego ojciec.

- A co jego ojciec powiedziała by na to? Żeby odebrać matce dziecko?

- Pewnie uznaliby, że u nich będzie mu lepiej niż ze mną. I gdyby nawet w końcu udało mi się je odzyskać, pierwsze, najważniejsze lata byłyby stracone.

- Katherine, nie obrażaj się, że cię o to pytam, ale czy jesteś pewna, że Sloan jest jego ojcem?

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- W moim życiu nigdy nie było żadnego innego mężczyzny - powiedziała dobitnie. - Zaszłam w ciążę, bo Sloan zgwałcił mnie niedługo przedtem, zanim uzyskałam rozwód.

Colin zaklął cicho i przeczesał palcami włosy.

- Przepraszam, że cię wypytywałem.

Patrzył na nią, jak siedzi i wpatruje się w ogień na kominku. Sięgnął i ujął w dłonie jej stopę, a następnie zaczął ją masować i pocierać, aż Katherine poczuła ciepło i roześmiała się.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Zawsze masujesz kobietom nogi i plecy?

- Chyba nie, w każdym razie nie przypominam sobie - odparł. - Ale tylko tak mogłem cię dotknąć, żebyś nie wystraszyła się śmiertelnie.

Uśmiech zgasł i Katherine przez chwilę znów patrzyła w przestrzeń.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciała związać się z jakimś mężczyzną. W ogóle sobie tego nie wyobrażam.

- A czy przeszkadza ci to, że siedzę tak blisko?

Potrząsnęła głową, a jemu serce zadrżało. Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Jaka jesteś naprawdę? Co ukrywa się pod tym makijażem?

- Nie jestem pewna, czy sama to wiem. Przez tyle czasu żyłam jak w skorupie. Sądzę jednak, że od rozvodu zaczynam się z tego wydobywać.

- Jesteś senna?
- Sama nie wiem - odparła, a w jej wzroku znów pojawił się strach.
- Pamiętaj, że przy mnie jesteś bezpieczna. Gdyby nachodziły cię jakieś obawy, to przypomnij sobie, że jestem policjantem i teraz ja ochraniam ciebie i twoje dziecko.
- To zbyt piękne, żeby było prawdziwe - powiedziała, już bez tego lęku w oczach.
- Oczywiście, że to prawda. Widziałaś moje psy? Wiedzą, że kto przychodzi ze mną, jest moim przyjacielem. Co prawda, nie zdarza się to często. Ale w stosunku do obcych nie zachowują się przyjaźnie. To naprawdę są psy obronne. Oprócz tego mam system alarmowy wokół budynku i ogrodzenia, chociaż tego ostatniego nie włączam na co dzień, gdyż zbyt wiele osób kręci się tam i z powrotem.
- Dlaczego w takim razie go założyłeś?
- Jestem policjantem i zdażyłem narobić sobie wrogów. Może jestem przesadnie ostrożny, ale nie chcę dawać im szansy, żeby mnie dopadli. Nie mam zamiaru dać się wykończyć -jestem przecież potrzebny moim starszkom. Ale chodzi mi teraz o to, że w domu jesteś bezpieczna. Tamci faceci mogą wyśledzić, gdzie mieszkam, bo na pewno zanotowali numery rejestracyjne.
- Nie chciałam przysparzać ci kłopotów.
- Przecież to ja zacząłem, sam powiedziałem, żebyś wsiadła do samochodu. Pamiętaj, że gdybym musiał wyjść, żeby nakarmić bydło czy coś w tym rodzaju, a tamci faceci zjawiliby się tutaj, musisz zadzwonić na policję. Powiesz im, że spotykamy się, a oni nie będą o nic pytali.
- Mówiłeś, że nie spotykasz się z nikim.

- Tak, ale wszyscy twierdzą, że powinienem zacząć. Zadzwoń na policję?

- Tak.

- To dobrze. Potrafisz strzelać?

- Kupiłam pistolet i byłam trzy razy na strzelnicy.

- Kiedy będziesz sama i usłyszysz albo zobaczysz coś podejrzanego, wyjmij pistolet. Tylko mnie nie postrzel.

- Nie wiem, czy w ogóle mogłabym strzelić do kogośkolwiek.

- Oni też tego nie wiedzą i pewnie nie będą chcieli ryzykować. Sami dojdą do wniosku, że lepiej poczekać, niż próbować wyciągnąć cię stąd siłą. Dopóki jesteś u mnie, nic ci nie grozi - zakończył, wiedząc, że nikt nie może być czegoś takiego pewny, ale z drugiej strony Katherine potrzebowała trochę otuchy.

Zadzwoił telefon. Colin podniósł się i podszedł do stołu. Katherine odwróciła się do kominka i obserwowała pomarańczowe płomyki, skaczące na rozżarzonych kłodach, powoli obracających się w popiół. Colin skończył rozmawiać i wrócił do niej.

- Dzwonili z biura szeryfa. Ktoś w mieście wypytuje o mnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mój przyjaciel z policji uznał, że lepiej mnie zawiadomić - mówił Colin, patrząc w ciemność za oknem. - Oni są wyczuleni na sytuacje, kiedy jacyś obcy wypytyują, gdzie mieszka jeden z naszych ludzi. Stillwater to małe miasteczko, nic tam się nie ukryje. Ktoś już im powiedział, że mieszkam na ranczu.

Popatrzył na Katherine, która siedziała sztywno, z szeroko otwartymi oczami, i wiedział, że strach wrócił.

- Nie bój się - tłumaczył jej spokojnie. - Nic ci się tu nie stanie. Opowiadałem ci o alarmie, ogrodzeniu, psach. Mam broń i doświadczenie w takich sprawach. Teraz zresztą wciąż trwa burza i nikt nie jest w stanie tutaj się dostać. Kiedy jesteś ze mną, możesz być spokojna.

W duchu zgadzała się z nim, ale tylko częściowo.

- Sprawa rozwodowa była już w toku, a ja wyprowadziłam się od Sloana. Zamieszkałam w Nowym Orleanie, w hotelu, i myślałam, że jestem tam całkowicie bezpieczna. Sloan wdarł się do pokoju i mnie zgwałcił. Po prostu kazał właścicielowi dać sobie klucz.

- Czy po tym, co się stało, zawiadomiłaś kogoś? Niebieska linia, telefon zaufania czy coś takiego? - spytał, marząc o tym, żeby dorwać gdzieś Sloana Manchestera i być z nim sam na sam przez pięć minut.

- Znalazłam się na ostrym dyżurze w szpitalu, bo złamałam mi obojczyk. Potem okazało się, że w rejestracji nie został po tym żaden ślad.

- Musi być gdzieś jakiś ślad, jeśli wiesz, jak szukać. Powiedz mi, kiedy to było...

- Nie! Nie chcę z nim walczyć, nie chcę do tego wracać.

- Uspokój się. Rozumiem, że nie chcesz z nim walczyć, ale powinnaś dać mi jakieś namiary. Co będzie, jeśli tamci jednak cię złapią? Nie chcesz, żeby ktoś starał się o twoje uwolnienie?

Patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Jej oczy miały kolor zielonego kryształu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek w życiu spotkała się z ofertą pomocy.

- Sama nie dasz sobie rady - powiedział łagodnie. - Pozwól mi sobie pomóc i daj mi broń, której mógłbym użyć przeciwko nim.

Potrząsnęła głową.

- Zawsze tak chcesz pomagać nieznajomym? - spytała.

- To też należy do obowiązków policji. Czasami musimy pomagać nieznajomym.

- Inni jakoś nie proponowali mi pomocy.

- Może nie dałaś im szansy.

- Nie chcę wciągać cię w te sprawy.

- Ale nie chcesz też przecież oddać dziecka Sloanowi.

Podaj mi tylko jakieś nazwiska i daty, a jeśli cokolwiek stanie się tobie czy dziecku, będę wiedział, od czego zacząć. Wystarczy tylko jedno twoje słowo.

Pomyślał, że zaczyna tracić zmysły. Błaga Katherine, żeby pozwoliła mu pchać się prosto w paszczę smoka. Kto wie, czy zmierzyć się z Manchesterami nie jest bardziej niebezpieczne niż starcie ze smokiem.

- Boję się, że jego gniew obróci się przeciwko tobie - powiedziała, patrząc na niego tak, że czuł, jak rośnie mu temperatura. - Słyszałam, że jeszcze kiedy Sloan był na studiach, tak pobił kogoś, że tamten stał się kaleką. Jego ojciec to wszystko zatuszował. Z tego, co wiem, zapłacili rodzinie tamtego tyle, że nikt nie wnosił pretensji. Sloan często nie potrafi zapanować nad sobą, ale nikt nie mógł o tym wiedzieć. Kiedy chce, umie być bardzo miły.

- Domyślam się - zauważył Colin sucho. - Inaczej być może trafiłaby kosa na kamień.

- On jest bardzo silny. Wciąż ćwiczy na siłowni i trenuje karate. Zachwyca się swoim ciałem i jest bardzo dumny ze swoich mięśni.

- Nie boję się Sloana Manchestera i wiem, że potrafię sobie z nim poradzić. Podaj mi nazwiska i daty.

- Będę musiała jakoś sobie je przypomnieć - odpowiedziała po namyśle. - Przez cały ten czas starałam się wyrzucić to z pamięci.

- Wezmę kartkę i zacznę zapisywać wszystko, co uda ci się przypomnieć.

Colin wstał, żeby poszukać czegoś do pisania, a ona przyglądała mu się ukradkiem. Był taki silny i potężny. Zapewniał, że chce jej pomóc, ale nie potrafiła tak do końca wyzbyć się strachu. Wydawał się przejęty jej problemami, ale podczas pierwszych miesięcy małżeństwa Sloan też tak się zachowywał. Teraz ona nie była w stanie zmienić na zawołanie swego nastawienia do mężczyzn. Być może nigdy do tego nie dojdzie.

Po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu pozwoliła sobie trochę się odprężyć. Dopiero teraz czuła, jak

bardzo była wyczerpana ostatnimi dniami. Zwalczała chęć zwinienia się w kłębek pod kocem, żeby zapaść w sen.

Colin wrócił i znów usiadł przy niej, więc musiała opanować odruch ucieczki. Może rzeczywiście jest tak, jak on mówi. Może naprawdę powinna mu zaufać. Może.

- Wysłuchaj mnie do końca, zanim zaczniesz protestować - powiedział Colin. - Można by zadzwonić do jakiegoś reportera i powiedzieć tylko, żeby pogrzebał w przeszłości Sloana. Nie będzie wiedział nic o tobie ani nawet o mnie. Oni mają nosa do takich rzeczy i na pewno pochwycą trop.

- Sloan zablokuje taki artykuł, a reporter zostanie wyrzucony.

- Powiedzmy, że zrobi tak w swoim mieście, ale przecież nie zablokuje wszystkich publikacji w całym stanie. Ludzie patrzą na ręce kandydatom na gubernatora. Zadzwonię do redakcji w...

- Nie! - zawołała gwałtownie, aż spojrzał na nią zaskoczony. - Musisz mi obiecać, że nigdzie nie zadzwonisz. Proszę.

Właściwie nie musiał jej niczego obiecywać i dla niej samej byłoby lepiej, gdyby jednak zawiadomił prasę, ale wystarczyło spojrzeć w rozszerzone strachem źrenice, żeby wiedzieć, że nie ma innego wyjścia.

- Obiecuję, chociaż uważam, że źle robisz.

- Powiedz to. Daj słowo, że nie zadzwonisz do żadnej gazety.

- Daję słowo, że nic nie powiem nikomu bez twojego pozwolenia.

- Dziękuję - odparła, nieco uspokojona. - Po prostu nie chcę mieć już nigdy do czynienia ze Sloanem.

- Proszę, tu masz kalendarze na ten rok i na poprzedni. Może uda ci się ustalić jakąś datę? Spróbuj przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz cię uderzył.

Przez chwilę kartkowała oba kalendarze.

- To było trzynastego maja, zeszłego roku. Odwieziono mnie na ostry dyżur do szpitala. Tam byłam przyjęta pod panięmskim nazwiskiem, jako Katherine Benedette - dodała, widząc, że Colin zapisuje to, co powiedziała.

- Pamiętasz nazwisko lekarza?

- Tak, tyle że Buford White jest starym przyjacielem ojca Sloana.

- Przecież musieli też tam być inni lekarze. A o której godzinie cię przyjmowali?

- Nie pamiętam.

- Spróbuj. Czy to było wieczorem, czy raczej około północy?

- Na pewno po północy. Myślę, że około drugiej.

- Dobrze. A jakieś inne nazwiska? Pielęgniarki, lekarza dyżurnego...

- Pielęgniarka miała na imię Debbie, nazwiska nie pamiętam. Nieduża, blond włosy i niebieskie oczy. Pamiętałam ją już z poprzednich wizyt w szpitalu. Była dla mnie miła.

- Dobrze. Gdzie mieszkaliście razem ze Sloanem?

- W Baton Rouge, ale on ma znajomych w całej Luizjanie, zwłaszcza w Nowym Orleanie. Jest teraz ważną figurą, bo został prezesem zarządu Manchester Enterprises. Jego ojciec jest dyrektorem firmy.

Colin podniósł na nią wzrok i przyjrzał się jej badawczo.

- Czujesz się zmęczona?

- Tak. Szczególnie dzisiaj był wyczerpujący dzień.

- Trzeba było mi powiedzieć. Chodź, wezmę tylko z pokoju moje rzeczy.

- Wolę przespać się tutaj. Nie chcę pozbawiać cię pokoju. Mówiła pośpiesznie, żeby zagłuszyć nagły strach. Myśl o spaniu w jego łóżku wprawiała ją w zakłopotanie.

- Nie sprzecyżajmy się. Muszę zostać tutaj, żeby mieć oko na cały dom. Wezmę tylko swoje ubrania.

- Och!

Spojrzała przerażonym wzrokiem w stronę okna, a on miał ochotę wziąć ją w ramiona i zapewnić, że przy nim nie musi się niczego bać. Chciał też dotknąć ustami jej warg, chociaż nie mógł zrozumieć, skąd to się u niego brało.

Wstał i poszedł do swojego pokoju. Kiedy wyjmował dzinsy z szafki, usłyszał pukanie. Katherine stała w progu.

- Nie zmieniaj dla mnie pościeli, proszę. Przyzwyczyłam się spać na czymkolwiek.

- Dobrze. W łazience są ręczniki. Gdybyś czegoś potrzebowała, to po prostu zawołaj. Proszę, tu jest czysta koszula. Możesz w niej spać, jeśli chcesz.

- Colin...

- Tak? - Odwrócił się do niej, patrząc pytająco.

- Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. Dobranoc.

Zamknął za sobą drzwi, potem rzucił swoje ubranie na fotel i westchnął. Czuł się tak, jakby przez cały dzień musiał trzymać w rękach coś nadzwyczaj kruchego i delikatnego. Podszedł do okna i wyrztał przez lekko uchyloną okiennicę. Wszystko tonęło w bezkresnej bieli. Nikt nie byłby tak głupi, żeby pró-

bować przedostać się przez ten śnieg, a gdyby nawet spróbował, to i tak utknąłby gdzieś w drodze. Przynajmniej tej nocy może spać spokojnie.

Zdjął koszulę, wyjął koc z szafy i wyciągnął się na sofie, kładąc obok siebie pistolet. Myśli o Kathenne wirowały w jego głowie jak tamte płatki śniegu za oknem. Sloan Manchester. Kawał drania. Jeden telefon i prasa dobrałaby mu się do skóry. Niestety, po danej Katherine obietnicy nie wolno mu było tego zrobić.

Ale kiedy ona już znajdzie się w samolocie do Kalifornii, będzie mógł rozpocząć swoje własne śledztwo. Znajdą się dowody i świadkowie. W końcu nikt nie jest w stanie przepuścić całego świata. Ktoś taki jak Manchester na pewno ma wielu wrogów. Poza tym może będzie w szpitalu jakaś osoba, która pamięta Katherine, i zdecyduje się świadczyć w jej sprawie.

Nie mogąc zasnąć, wpatrywał się w drzwi swojej sypialni. Dlaczego, u diabła, tak się przejmuję losem tej kobiety? Nikt nie każe mu pakować się w tę aferę, zajmować Sloanem Manchesterem i szukać dowodów na to, że maltretował swoją żonę. Colin wiedział jednak doskonale, że kiedy tylko zobaczy w powietrzu samolot z Katherine na pokładzie, sam ruszy do Luizjany. Nie wolno dopuścić do tego, żeby gubernatorem został ktoś taki jak Manchester. Na razie zaś powinien skupić się na tych, którzy ścigają Katherine. Śnieg w końcu przestanie padać, a wtedy oni się tu zjawią.

Katherine obudziła się i przeciągnęła z przyjemnością, czując przyjemne ciepło wygodnego łóżka. Było to uczucie dla niej tak niezwykle w ostatnim czasie, że przetarła oczy

i rozejrzała się wokoło. Znajdowała się w sypialni Colina Whitefeathera i mimo wszelkich obaw spała bezpiecznie i spokojnie przez całą noc.

Dziecko w niej również się poruszyło, więc położyła rękę na brzuchu i uśmiechnęła się.

- Pewnie chcesz już wyrzeć na świat, prawda? - szepnęła. Spojrzała przez okno na pokryty śniegiem krajobraz i pomyślała o Kalifornii i czekającej na nią Pauli. - Niedługo będziemy tam, gdzie jest słońce i ciepło. Poczekaj tylko trochę, bo tam jest dla ciebie przygotowane łóżeczko i ubranka. Poczekasz, prawda? Muszę jeszcze też wybrać dla ciebie imię. Może Emily? A dla synka Jacob albo Cade?

Wstała z łóżka, czując się jeszcze bardziej ociężała niż zazwyczaj. Bolały ją plecy, więc spróbowała sobie trochę rozmasować to miejsce. Podeszła do okna. Śnieg błyszczał pięknie w słońcu, a niebo było niezkazitelnie błękitne. Po burzy nie było już śladu i tamci mężczyźni na pewno już są na jej tropie. Poczowała nagły przypływ paniki.

Żeby odwrócić uwagę od grożącego niebezpieczeństwa, zaczęła myśleć o Colinie. Spała w jego pokoju, w jego łóżku, mając na sobie jego koszulę. Była za duża, musiała więc podwinąć rękawy i zauważyła przy okazji, że jest już znośna i mocno wytarta na łokciach. Sprawilo jej to przyjemność - w ten sposób Colin był jakby obecny przy niej.

Przespała całą noc spokojnie i nikt tego nie zakłócił. A więc można mu ufać. Przypomniała sobie jednak, jak ufała na początku Sloanowi i jak on to zaufanie zawiódł. Spojrzała na zegarek i ze zdumieniem zauważyła, że już minęła dziewiąta.

Wzięła prysznic i umyła włosy. Spłukując je, obserwowała strugi brunatnej wody, znikające w odpływie. Już nie bę-

dzie starała się ukrywać włosów, miała nadzieję, że to nie będzie więcej potrzebne. Wysuszyła je i rozczesała, pozwalając im opadać swobodnie na ramiona i plecy.

Włożyła obszerne dzinsy - jedyne, jakie mogła nosić ze względu na wystający brzuch, a potem ten długi, włochaty sweter. Ubrana, ruszyła na poszukiwanie Colina.

Kuchnię wypełniał wspianiały zapach kawy i cynamonu. Na środku stołu znalazła kartkę. „Pracuję. Wracam w południe. Alarm włączony. Zjedz śniadanie. Śnieg za głęboki, nie uda im się przejechać”.

Uśmiechnęła się, czytając te lakoniczne zdania. Najwyraźniej nie lubił tracić czasu na nic nie znaczące słowa. Ponownie przeczytała kartkę, a potem odłożyła ją i wyszła rzucić okiem na drogę. Okazało się, że cały świat był wyściełony białym puchem, równym i gładkim jak koc, więc uspokojona wróciła do domu.

Powoli jeszcze raz zwiedziła wszystkie pomieszczenia. Rozglądała się z ciekawością, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o Colinie. Zauważyła, że czytuje książki o zagadkach kryminalnych, lubi łowić ryby i polować. Jedną z półek zajmowały puchary zdobyte w zawodach w pętaniu była na rodeo. W komodzie znalazła fotografię, na której był ze szczupłą, uśmiechniętą blondynką. Obejmowali się i Katherine pomyślała, że to pewnie jego żona. Ogarnęło ją współczucie dla niego i prędko schowała zdjęcie z powrotem. W szufladach komody była bielizna i skarpetki, pomieszane z paskami, kawałkami sznurka i amunicją. Najwyraźniej Colin nie był pedantem, chociaż dom nie był zapuszczony, a rzeczy czysto wyprane. Spojrzała na białe kalesonki i pomyślała o jego ciele.

Zrobiło jej się gorąco i sama zdziwiła się tą reakcją - nie przypuszczała, że kiedykolwiek jeszcze dozna takich uczuć. Przez Sloana bała się mężczyzn i odrzucała ich.

Przestała grzebać w rzeczach Colina i wróciła do kuchni, żeby zjeść śniadanie. Przyglądała się przez okno otoczeniu, które przedtem, z powodu burzy, było całkowicie niewidoczne. Od razu rzucała się w oczy wielka stodoła, najwyraźniej zbudowana całkiem niedawno. Obok niej była zagroda, w której biegało stado koni. Z tyłu usytuowany był budynek, w którym prawdopodobnie mieszkali pracownicy. Całości dopełniały pomieszczenia na narzędzia i garaże.

Nalała sobie soku, żeby popić połknięte witaminy, i wtedy właśnie zadzwonił telefon. Katherine, nie namyślając się, podniosła słuchawkę.

- Słucham? - powiedziała i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, jakie popełniła głupstwo.

W słuchawce panowała cisza, po czym ktoś z drugiej strony rozłączył się.

Stała ze słuchawką w ręce, czując lodowate zimno. Wreszcie odłożyła ją na widełki. Dlaczego, na Boga, odebrała ten telefon? Przez tyle miesięcy była nadzwyczaj ostrożna, może nawet czasami przesadnie. Jak to się stało, że zapomniała o podstawowych zasadach?

- Nie wolno odbierać telefonów... nie wolno odbierać telefonów... - powtarzała, ale zdawała sobie sprawę, że to za późno. Jeśli ktokolwiek chciał sprawdzić, czy ona jest na ranczu, to osiągnął swój cel.

Znów podbiegła do drzwi, wyjrzała na dwór i uspokoiła się trochę, patrząc na głęboki śnieg, pokrywający wszystko wokoło. Nikt nie mógłby przedostać się tu niepostrzeżenie.

Zastanawiała się, kiedy uda jej się dostać do Tulsy i odlecieć wreszcie na zachód. Śnieg znowu zaczynał prószyć i to ją niepokoiło. Termin porodu zbliżał się nieubłaganie i powinna była już być na miejscu. Taki przecież miała zamiar od samego początku.

Jednak z drugiej strony tutaj czuła się bezpieczna i wcale nie chciało jej się wyjeżdżać. Ją samą zaskoczyło to stwierdzenie. Oto okazało się, że Colin - nie wiedzieć kiedy - zdołał pokonać sporo barier, jakimi się obwarowała.

Błękitne do tej pory niebo zaczynało się chmurzyć, więc zatelefonowała do linii lotniczych. W końcu jednak nie zrobiła rezerwacji, tylko dowiedziała się, jakie są loty do San Francisco. Odkładając słuchawkę, usłyszała warkot silnika. Z bijącym sercem podeszła do okna, ale ku jej uldze, w nadjeżdżającym traktorze zobaczyła kapelusz i sylwetkę Colina. Podjechał do tylnych drzwi, zatrzymał traktor i wysiadł, a w ślad za nim wyskoczyły psy. Obserwująca go Katherine poczuła się niezgrabna i nieatrakcyjna.

Colin otworzył drzwi i psy wpadły do środka. Wtedy zobaczył ją, stojącą na środku pokoju. Serce zaczęło tłuc się boleśnie. Nie miała już na sobie teatralnego makijażu, zniknęły cienie pod oczami i burobrązowe włosy. Wyglądała olśniewająco w kaskadzie rudych włosów, z jasną karnacją skóry i rumieńcami na policzkach. Długi, obszerny sweter niemal całkowicie maskował jej stan i w ułamku sekundy Colin wyobraził sobie, jak wyglądałaby nie będąc w ciąży, a następnie kiedy byłaby naga.

- Dzień dobry - odezwała się nieśmiało, uśmiechając się do niego, a Colin poczuł, że coś taje mu głęboko w środku.

- Dzień dobry - odpowiedział, zdejmując kapelusz i kur-

tkę. Przeszedł przez pokój, nie spuszczać z niej wzroku. Podszedł blisko i zobaczył, że zbladła. - Co się stało?

Katherine cofnęła się o krok, potem jeszcze jeden i rozejrzała się nerwowo, jakby szukając drogi ucieczki. Colin zatrzymał się.

- Boisz się mnie?

Skubała nerwowo brzeg swetra. Potrząsnęła głową przecząco i wtedy włosy jej zafalowały, a on zapragnął zanurzyć w nich ręce.

- Nie, tylko tak na mnie patrzyłeś... Widocznie nie potrafię już reagować normalnie.

- Co to znaczy „nie potrafię”? - spytał spokojnie. - Po pierwsze, zawsze w takiej sytuacji pamiętaj, że nigdy cię nie skrzywdzę, a po drugie - że w moim domu nic ci nie grozi. Możesz się uspokoić.

Obdarzyła go uśmiechem, więc podszedł do niej ostrożnie, czekając na pierwszą oznakę przestachu.

- Patrzyłem, bo miałem powód.

- Jaki powód? - spytała tak serio, że musiał ukryć uśmiech.

- Bo nie jesteś ucharakteryzowana, tak jak wczoraj, a twoje włosy też odzyskały swój naturalny kolor.

- Tak. - Uniosła ręce i dotknęła swojej głowy. - Nie ufarbowałam ich.

- Nie rób tego - poprosił lekko zdławionym głosem. - Patrzyłem tak, bo jesteś piękna.

- To niemożliwe - odparła zaskoczona i zaczerwieniła się. - Jestem w dziewiątym miesiącu ciąży. Wzrostem przewyższam wielu mężczyzn. Ale dziękuję za komplement.

Nie mógł dłużej się powstrzymać i ujął pasmo jej włosów.

Było takie delikatne, jedwabiste. Chciał pociągnąć za nie, przyciągnąć Katherine do siebie i pocałować.

- Jesteś piękna, kiedy j esteś w dziewiątym miesiącu ciąży
- powiedział cicho. - A ode mnie jesteś niższa.

Patrzyła na niego poważnie tymi wielkimi zielonymi oczami, jakby nie wierzyła, że może podobać się komuś w takim stanie. Zaczęła też mierzyć go wzrokiem i kiedy zdała sobie z tego sprawę, jeszcze bardziej spłonęła rumieńcem.

- Dziękuję. Nie wiem, czy kiedykolwiek nazwano mnie piękną.

Tak chciał ją pocałować, że musiał włożyć do kieszeni zaciśnięte w pięści dłonie i cofnął się gwałtownie, nadeptując niechcący na ogon psa, który zaskowyczał w proteście. Colin zaklął pod nosem i schylił się, żeby go pogłaskać.

- Przepraszam, mały. Nie widziałem cię.

Pies z radością machał ogonem, a Colin podszedł do zlewu, żeby napić się wody.

- Telefonowałam do linii lotniczych, ale nie zrobiłam rezerwacji - odezwała się Katherine. - Nie wiedziałam, czy będę mogła dziś stąd wyjechać, czy też nie.

- Teraz będę odśnieżał nasz dojazd, ale sprawdzałem w zarządzie dróg i okazuje się, że szosa nie jest jeszcze przejezdna. - Colin obrócił się i oparł o stół. - Myślę, że uda nam się pojechać do Tulsy jutro, więc możesz zrobić rezerwację. Tylko uważaj, bo jeszcze urodzisz w samolocie.

Potrząsnęła głową, uśmiechając się do niego.

- Termin nie przypada na jutro.

- Tak, tak. Wiem. Jeszcze sześć dni. Mam tylko nadzieję, że dziecko również o tym wie.

- Ja też.

Spojrzał przez okno na gromadzące się na niebie chmury.

- Colin... - zaczęła Katherine z wahaniem.

Jakaś nuta w jej głosie powiedziała mu, że coś się stało.

Coś złego.

- Robiłam sobie śniadanie i zadzwonił telefon.

- A ty podniosłaś słuchawkę i odezwałaś się.

Szybko ocenił w myśli sytuację. On sam i jego ludzie byli uzbrojeni i przygotowani na najście. Drogi są zasypane. Jeśli tamci są na tyle głupi, że będą próbowali dostać się tutaj, to znaczy, że nie dowiedzieli się o nim zbyt wiele. Ciekawe, czy ktoś im powiedział, że mają do czynienia z byłym policjantem.

- Przepraszam. Zrobiłam to odruchowo. Ostatnio odzwyczaiałam się od telefonu.

- Co się stało, to się stało. Ale to i tak niczego nie zmienia.

- Nikt się nie odezwał. Była cisza w słuchawce, a potem ktoś ją położył.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto, że to byli oni. Teraz już mają pewność, że tutaj jesteś. Ale nie przejmuj się. Zostaw mnie troskę o swoje bezpieczeństwo. Wszyscy moi ludzie noszą dzisiaj broń, no i wystarczy tylko jeden mój telefon do szeryfa...

- Nie chcę, żeby szeryf o coś mnie wypytywał!

- Nie bój się, nie będzie. Jeśli wezwę ich na pomoc, to nie będę musiał tłumaczyć, dlaczego tamci chcą tu się wdrzeć. To jacyś obcy, a my nic o nich nie wiemy.

- Ale i tak będę musiała podać im moje nazwisko.

- No to podaj. Mnie ono nic nie powiedziało, może i oni go nie rozpoznają. A nawet jeśli tak, no to co z tego? Mówi-

łaś, że były mąż nie zgłosił twojego zaginięcia. No to idę odśnieżać drogę.

Odprowadziła go do drzwi i tam na chwilę przystanął.

- Gdybyś chciała wyjść, przejść się po śniegu, to weź sobie z szafy jakieś moje buty. I poszukaj sobie czegoś do przebrania. Możesz wziąć wszystko, co ci się przyda.

- Dziękuję.

Dłużej nie mógł się oprzeć. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w policzek. Zobaczył zdziwienie w jej oczach, ale nie było w nich strachu. Zagwizdał na psy, wcisnął czapkę na głowę i wyszedł.

Katherine dotknęła policzka i patrzyła za Colinem, jak szedł w stronę traktora. Powiedział, że jest piękna! Jest w dziewiątym miesiącu ciąży i zwłaszcza przez ostatni okres czuła się tak niezgrabnie i nieatrakcyjnie. A oto Colin Whitefeather nie tylko sprawia, że znów może być kobietą, ale na dodatek przy nim wydawało jej się, że jest mała i zwiewna. Coś takiego zdarzyło jej się pierwszy raz w życiu i bardzo się to podobało. Jeszcze raz dotknęła tego miejsca, gdzie ją pocałował.

- Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem - powiedziała cicho, patrząc, jak wsiada do kabiny ciągnika.

Po chwili już zgarniał śnieg, a psy skakały wkoło. Nagle nabrała ochoty na spacer po śniegu. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio robiła coś tylko dla zabawy. Szybko przejrzała szafę Colina i wyjęła najbardziej znoszoną parę butów oraz skórzane rękawice, a potem włożyła swoją kurtkę.

Okazało się, że Colin oczyścił już spory kawałek podjazdu i kierował się teraz w stronę szosy. Psy zobaczyły ją i przybiegły w podskokach. Robiła z nimi ślady na śniegu, śmiała

się bez powodu, pierwszy raz od długiego czasu czując się beztrusko. Utoczyła dużą śnieżną kulę i zaczęła lepić bałwana. Kiedy już był duży, poszła do kuchni po marchewkę na nos i coś do zrobienia oczu. Znalazła starą czapkę i włożyła bałwanowi na głowę, a potem stanęła w pewnej odległości i podziwiała swoje dzieło.

Zrobiło jej się zimno, więc wróciła do domu. Zrzuciła z nóg buty, a następnie zdjęła dżinsy, żeby wyprać je z paroma jeszcze innymi rzeczami. Sweter sięgał jej do pół uda, a poza tym nie spodziewała się powrotu Colina wcześniej niż na kolację. Włożyła jego wełniane skarpety, po czym poszła przejrzeć zapasy, żeby przyrządzić mu coś do jedzenia.

Zarezerwowała sobie też miejsce na jutro, w samolocie z Tulsy do San Francisco, o godzinie trzeciej po południu. Odkładając słuchawkę, potoczyła wzrokiem po kuchni Colina i pomyślała, że nigdy go nie zapomni.

Wrócił, kiedy już robiło się ciemno, wołając ją, jeszcze zanim otworzył drzwi. Psy wskoczyły do środka i łaszac się, podbiegły do niej.

- Coś tu wspaniale pachnie!

- Nie wiem, czy mi się udało, tak dawno nie gotowałam. Znalazłam filety rybne w zamrażarce. - Patrzyła, jak Colin wchodzi do kuchni i zagląda pod pokrywki garnków. - Mam rezerwację na jutro po południu.

- Jeśli się uda, to zawiozę cię do Tulsy, ale zapowiadają jeszcze jedną burzę, no i rzeczywiście już zaczęło padać.

- Nie! - Katherine pośpieszyła do okna i próbowała dojrzeć coś przez zamrożone szyby.

- Nie bój się. Jeżeli okaże się, że musisz zostać i iść do szpitala w Stillwater czy Tulsie, to pojedę z tobą.

- Dlaczego robisz dla mnie to wszystko? - spytała nagle, odwracając się do niego. - Nie, nie, przepraszam. Nie powinienam o nic cię wypytywać, tylko podziękować ci.

- Możesz mnie pytać, o co chcesz. Pomagam ci, bo sądzę, że potrzebujesz pomocy. - Uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby, a ona poczuła, że jej miękną kolana. - Tak naprawdę pomagam ci, bo jesteś piękna, a ja jestem tobą oczarowany.

- Dzięki ci, pochlebco - odparła, śmiejąc się. - Trochę trudno w to uwierzyć, gdy ma się figurę w kształcie beczki. - Jeszcze raz spojrzała w okno i przestała się śmiać. - Nie wiem, co zrobię, jeśli nie przestanie padać. Muszę dostać się do Kalifornii.

Nagle rozległ się głośny, przerywany dźwięk.

- To alarm przy bramie - powiedział Colin, wyjmując broń.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Trzymając rewolwer, Colin chwycił słuchawkę telefonu.

- Zamknij się w sypialni i nie zbliżaj do okien ani drzwi - polecił. - Tak, Abe, potrzebuję pomocy - zwrócił się do telefonu. - Włączył się alarm, ktoś usiłuje tu się dostać. Może dojść do strzelaniny.

Odłożył słuchawkę, a następnie wybrał jeszcze jeden numer.

- Bud, słysząc alarm. Zostań tam, gdzie jesteś, ja tutaj sobie poradzę. Już dzwoniłem na policję.

Katherine stała wciąż w jednym miejscu, nie mogąc się ruszyć. Colin tymczasem chwycił kurtkę i pobiegł do drzwi, a ona pośpieszyła za nim.

- Zamknij za mną drzwi - zawołał.

- Dokąd idziesz? - spytała przerażona myślą, że on chce wyjść im na spotkanie.

- Na dach.

Drzwi trzasnęły, a Katherine szybko zamknęła je na klucz. Pogasiła światła w całym domu i ostrożnie wyjrzała przez okno. Niebo było ciemne i padał drobny śnieg. Nerwowo splotła palce. Bała się, że Colin będzie musiał walczyć.

Patrzyła na drogę, którą Colin niedawno oczyścił. Ile czasu potrzeba, żeby śnieg znów ją zasypał? I czy szeryf nadjedzie z pomocą? Usłyszała odgłos uderzenia z tyłu domu i po-

biegła do kuchni. Zobaczyła drabinę opartą o dach, a nad jej głową coś zaczęło skrobać. Domyśliła się, że Colin już jest na dachu. Wróciła do pokoju od frontu, gdyż sądziła, że napastnicy nadejdą z tamtej strony.

Rzeczywiście, w ciągu kilku minut na drodze pojawił się samochód, widoczny najpierw jako czarny cień na tle białej drogi. Zaskoczyło ją, że oni tak po prostu jadą w kierunku domu. Oczekiwała raczej, że po usłyszeniu alarmu napastnicy spróbują przedostać się niepostrzeżenie.

Miała zamiar podejść do drzwi, gdyż przypuszczała, że Colin też ich zobaczył i będzie chciał wejść do środka. Zanim jednak zdołała zrobić krok, rozległ się strzał, potem następny, aż wreszcie rozpętało się coś, co wydawało jej się prawdziwą bitwą. Usłyszała brzęk rozbijanej szyby i odskoczyła, z sercem walącym jak młotem. Potem widać było światła zwracającego i kierującego się z powrotem samochodu. Oparła się o ścianę i oddychała z ulgą, ale zaraz przypomniała sobie, że Colin jest zamknięty na zewnątrz, i pośpieszyła do kuchennych drzwi. Ledwo zdążyła je otworzyć, on pojawił się w progu.

- Chyba uciekli. Muszę podjechać do bramy i sprawdzić alarm. Pewnie zaraz przyjedzie policja i być może zjawia się tutaj ze mną.

- Dobrze - powiedziała, zamykając za nim drzwi. To nie do wiary, ale przy nim czuła się całkowicie bezpieczna. Wolałaby uniknąć spotkania z policją, ale uznała, że jej obecność u boku Colina nie powinna wzbudzić ich podejrzeń.

Popatrzyła, jak Colin odjeżdża dżipem, po czym zasłoniła zbitą szybę znalezionym w spiżarni kawałkiem tektury. Potem usiadła i czekała na powrót Colina. Śnieg padał wielkimi

płatkami, a ona myślała o tym, co będzie z jej rezerwacją. Po pół godzinie wrócił Colin, ale bez szeryfa.

- Abe musiał wracać do miasta.

- Czy on wie o mnie?

- Wie, że jest u mnie kobieta. Powiedziałem mu, że twój były mąż jest chorobliwie zazdrosny. Domyślam się już, jakie plotki będą niedługo o mnie krążyć.

- Sprawiam ci same kłopoty.

- Droga pani, wiedziałem to już w chwili, kiedy zaprosiłem cię do swojego samochodu. Coś się stało? - spytał, przyglądając się jej uważnie.

- Nic. Tylko nigdy jeszcze nie widziałam ciebie z bronią - odparła, wskazując gestem jego strzelbę.

- Pamiętaj, że ona jest po to, żeby cię bronić - odparł i poszedł odłożyć ją na stojak w pokoju. - Alarm jest w porządku, tylko oni, wjeżdżając, uszkodzili bramę.

- A w jakim stanie są drogi?

- Kiepskim. Abe przyjechał dżipem z napędem na cztery koła i do tego miał łańcuchy, ale zrobiło się już za dużo lodu, żeby łańcuchy mogły w czymś pomóc.

- Muszę jutro stąd wyjechać.

Podszedł do Katherine i położył obie dłonie na jej ramionach. Z zadowoleniem zauważył, że nie próbowała się odsunąć.

- Rano spróbujemy pojechać. A teraz zapomnij o tamtych facetach, bo na pewno nie wrócą.

- Skąd wiesz?

- Zorientowali się, że nie jesteś sama. To miejsce jest za trudne do zdobycia. Mam psy, alarm, broń, a jeśli przyjechałyby policja, znaleźliby się w nie lada kłopotcie. Twój były

mąż na pewno powiedział im, żeby unikali wszelkich konfliktów z prawem.

- Z pewnością.

- Sama widzisz. Teraz przyczają się gdzieś po drodze albo na lotnisku, żeby cię obserwować.

- Chcę wierzyć, że masz rację. Aha, jedna szyba jest rozbita. Zasłoniłam ją tekturą.

- Kiedy burza się skończy, przyniosę szkło i wstawię szybę. Już nieraz musiałem to robić, chociaż nigdy z powodu strzału.

- Jeśli masz ochotę coś zjeść, to włożę rybę do pieca.

- Teraz nie. Najpierw muszę zadbać o zwierzynę - wyjaśnił, biorąc torbę z karmą dla psów. - Potem sam się zajmę jedzeniem, a ty usiądź tutaj i opowiedz mi coś.

- Mogę podgrzać kolację, kiedy będziesz karmił psy.

- Nie, usiądź - powiedział i poszedł do garażu, a Katherine pozmywała i skończyła przygotowania do kolacji.

Colin wrócił i wstawił rybę do piekarnika.

- Wygląda wspaniale - powiedział.

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie - zaproponowała.
- Właściwie nic o tobie nie wiem.

- Niewiele jest do opowiadania. Urodziłem się w Oklahomie, grałem w futbol, studiowałem prawo na uniwersytecie w Missouri, a potem zacząłem pracę w policji. Ojciec zawsze był farmerem, tyle że wtedy rodzice mieszkali w okolicach Anadarko, też w Oklahomie.

Katherine wstała, żeby nalać wody, a Colin, chcąc jej pomóc, wziął ją za rękę. Bez namysłu wyrwała ją, ale zaraz pożałowała swojej reakcji.

- Przepraszam cię. Przyzwyczaiałam się do tego, że jeśli

mężczyzna chwytając mnie za rękę, to znaczy, że chce mnie przytrzymać i uderzyć.

Colin chciał wziąć ją w ramiona i pocieszać, wymazać z pamięci straszliwe wspomnienia, ale wiedział, że to teraz niemożliwe.

- Jeszcze nadejdzie moment, że chwycę twoją dłoń, a ty mnie nie odepchniesz. Zobaczysz, że to minie.

- Mówiłam ci, kiedy ostatni raz mój mąż zbliżył się do mnie. Niedługo minie rok, a ja wciąż podskakuję na każdy gwałtowniejszy ruch, jaki zrobisz. Już nigdy nie będę normalna - dodała, patrząc smutno na śnieg padający za oknem.

- Będziesz - powiedział Colin z naciskiem. - A teraz usiądź, odpocznij i pozwól mi podać nam kolację.

- Przecież ja mogę to zrobić.

- Niedługo będziesz musiała pracować za dwoje. Na razie moja kolej.

Zgodziła się i siedząc, obserwowała Colina, zastanawiając się wciąż nad swoją reakcją i źródłem jego cierpliwości. Czy on kiedykolwiek traci panowanie nad sobą? Sloan mawiał, że każdy ma granicę, po przekroczeniu której nie jest stanie dłużej znieść danej sytuacji.

Wreszcie kolacja znalazła się na stole - różowawe filety z łososia w sosie cytrynowym, posypane szczypiorkiem.

- Wspaniale! - westchnął Colin. - Moje jedzenie nawet się do tego nie umywa.

- Dziękuję. To nie było bardzo skomplikowane.

Jedli w milczeniu, a Katherine wciąż nurtowała ciekawość.

- Długo byłeś żonaty?

Podniósł na nią wzrok pełen bólu i Katherine natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie.

- Przepraszam, to nie moja sprawa.

- Przecież powiedziałem ci, że możesz pytać o wszystko. Byliśmy małżeństwem przez pięć lat. Chcieliśmy mieć dzieci, ale Dana nie mogła zająć w ciążę.

Zastanawiał się, czy mówienie o tym zawsze będzie sprawiało mu ból. Domyślał się, że Katherine jest ciekawa, co się stało. To w końcu naturalne. Pewnie widziała fotografię Dany, kiedy szukała czegoś dla siebie w jego szafie.

- Dane zabiła bomba przeznaczona dla mnie.

- O Boże! Colin, tak mi przykro. Przepraszam, że o to pytałam - wykrzyknęła Katherine, najwyraźniej wstrząśnięta.

- Już w porządku - odparł niewyraźnym głosem. - Odszedłem wtedy z pracy i przeniosłem się tutaj, a także sprowadziłem rodziców. Dlaczego nie jesz?

Katherine całkowicie straciła apetyt. Nie mogła znieść pustki i bólu w jego wzroku. Zdała sobie sprawę, że ten mężczyzna wygląda! na najtwardszego pod słońcem, ale jego serce łatwo było zranić. Nie zastanawiając się, wyciągnęła rękę nad stołem i delikatnie dotknęła jego policzka. Colin spojrział na nią pytająco i bolesny wyraz znikł z jego oczu. Położył swoją dłoń tak, że przykryła jej rękę.

- Już mnie się nie boisz?

- Mogę tylko powiedzieć, że nie boję się w tej chwili - odparła, sama nie wiedząc, czy mówi prawdę.

- To dobrze.

Wciąż trzymając jej dłoń, pochylił głowę i musnął wargami jej palce.

- Cieszę się, że otworzyłeś wtedy drzwi samochodu.

- Ja też. Zjesz jeszcze trochę?

- Nie jestem już głodna.

- Ja też nie. No to pozmywam.
- Nie, pozwól mi to zrobić. Cały dzień pracowałeś i jeszcze musiałeś walczyć z tamtymi facetami. Musisz być zmęczony.
- Chciałbym dostać ich w swoje ręce.
- Pragnę z całego serca, żeby tak się nie stało - powiedziała z powagą. - Jutro wieczorem będę już w Kalifornii, a wtedy zostawią cię w spokoju.

Colin zaniósł naczynia do zlewu, myśląc o tym, dlaczego odczuwa smutek, kiedy mowa o wyjeździe Katherine. Znają nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, pojawiła się nagle w jego życiu i tak samo nagle zniknie, ale czuł się tak, jakby znał ją od dawna. Patrzył, jak krząta się koło stołu, a jedwabista zasłona włosów faluje przy każdym ruchu. Podobała mu się bardzo i, co więcej, pociągała go. Od czasu Dany nie patrzył tak na żadną kobietę, zwłaszcza na taką w dziewiątym miesiącu ciąży, ubraną w rozciągnięty sweter.

Wziął głęboki oddech i zaczął z pośpiechem wkładać naczynia do zmywarki, próbując zapanować nad swoim ciałem. Podniósł wzrok, gdy usłyszał jej śmiech.

- Robisz zawody, kto szybciej posprząta czy co? Bo chyba nie utrzymujesz takiego tempa pracy przez cały dzień?

Podszedł do Katherine i oparł się rękami o blat w ten sposób, że nie mogła się poruszyć, uwięziona między nim a stołem. Jeszcze wczoraj próbowałaby się wyrwać, ale teraz popatrzyła tylko ze zdziwieniem.

.- Nie robię żadnych zawodów w sprzątaniu. Po prostu staram się oderwać myśli od pewnej pięknej kobiety, która jest tu ze mną.

- Jesteś bardzo miły, ale nie mów głupstw. Czuję się tak, jakbym była balonem. Powinieneś zacząć spotykać się z kobietami - dodała, czerwieniąc się.

Puścił ją, żeby opanować chęć udowodnienia jej, jak bardzo mu się podoba.

- Chodź do pokoju. Rozpalimy w kominku.

- Co będzie, jeśli jutro nie będę znów mogła stąd się wydostać? - spytała, kiedy już siedzieli, wpatrując się w skaczące płomienie.

- Zmienisz rezerwację na następny dzień. Albo zostaniesz tutaj, a ja zawiozę cię do szpitala w Stillwater lub Tulsa.

- Nie mogę zostać. Oni będą mnie tu szukać. I tak już przeze mnie grozi ci niebezpieczeństwo. Poza tym nie chcę iść do szpitala. Tam mogą mnie znaleźć.

- Przrzekam ci, że będę cię ochraniał. Mogę stróżować przy twoim łóżku, aż wypiszą cię ze szpitala. Mówiłaś przecież, że nie wykradną dziecka z oddziału.

Patrzyli sobie w oczy. Poważnie, bez uśmiechu, jakby nawzajem chcieli coś wyczytać ze swoich twarzy. Napięcie narastało, a on aż do bólu pragnał ją pocałować. Dlaczego właśnie ona? Jego ciało reagowało najej widok, a spojrzenie zielonych oczu sprawiało, że zapominał, dlaczego ma trzymać się od niej z daleka.

Odsunął się i spojrział w ogień. Pewnie ona nawet nie zdaje sobie sprawy, jak na niego działa. Musi przestać w kółko o niej myśleć.

- Czy już wybrałaś jakieś imiona?

- Tak. Jeśli będzie chłopiec, to nazwę go Jacob albo Cade, a dziewczynkę Emily.

- Ładne imiona.

- Postanowiłam też wrócić do swojego panieńskiego nazwiska.

- Dobry pomysł.

Usłyszeli za oknem szybkie, ostre uderzenia. To wiatr ciskał o szyby marznącą mżawkę.

- Znów drogi będą oblodzone.

- To co ja zrobię?

- Zobaczymy rano. Pogoda może zmienić się z godziny na godzinę.

Kathenne przyglądała się Colinowi, jak dokłada do ognia. Ogarnęło ją współczucie dla niego - był tak silny, a jednocześnie głęboko zraniony po stracie ukochanej osoby.

- Mówiłeś, że wszyscy namawiają cię, żebyś zaczął spotykać się z kobietami. Mają rację. Szkoda, żebyś żył jak pustelnik.

Colin patrzył prosto w jej zielone oczy i wiedział, że gdyby okoliczności były choć odrobinę inne, nie pozostawiłyby jej uwagi bez odpowiedzi. I u innej kobiety wzięłby to za zaproszenie. Jednak znał na tyle Katherine, by wiedzieć, że w jej słowach nie ma żadnego ukrytego podtekstu. Ona życzy mu jak najlepiej. Nagle zdał sobie sprawę, że niemiła jest mu myśl o jakimś mężczyźnie u jej boku. Zdziwiło go to. To dobrze, że jutro się rozstaną. Patrzył na jej usta, pragnął poczuć ich dotyk. Zmusił się do odwrócenia wzroku. Kiedy jednak spojrzął jej w oczy, wcale nie było lepiej. Najwyraźniej ona też czuła coś podobnego.

Jego ciało pragnęło jej, ale rozsądek przypominał, że może ją wystraszyć.

- Czy mogę cię pocałować? - wyrwało mu się i nie zdziwiłby się, gdyby po czymś takim wybiegła z pokoju.

- Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa - odparła, chociaż jej świetlisty wzrok mówił coś przeciwnego.

- W porządku, dojdziemy do tego. A czy mogę dotknąć palcami twoich warg?

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Jesteś bardzo cierpliwy, prawda?

- Kiedy trzeba.

Przesunął palcem wzdłuż linii brody, aż do kącika warg, a następnie powoli unióś go wyżej. Jego dotyk był lekki jak piórko, ale powodował ciepło i mrowienie.

- Na razie w porządku? - szepnął, a Katherine pokiwała głową.

Wcale się nie bała. Serce waliło jej w piersi gwałtownie, co prawda, ale nie ze strachu. Po prostu reagowała na bliskość mężczyzny w sposób, o jakim niemal już zapomniała. Zdała sobie sprawę, że to też jest niebezpieczne. Ma przecież wyjechać do Kalifornii, ukryć się tak daleko, żeby Sloan jej nie znalazł. W związku z tym nie powinna sprowadzać więcej kłopotów na kogoś takiego jak Colin, kto i tak dosyć już wycierpiał.

- Zamknij oczy - powiedział szeptem. - Tylko na chwilę. To będzie tylko jeden maleńki pocałunek.

Powinna odmówić. Wiedziała o tym doskonale, ale wzrok Colina trzymał ją jak na uwięzi. Ledwo zauważalnie potrząsnęła głową.

- Nie chcę zamykać oczu. Kiedy jest ciemno, wracają dawne koszmary.

Colin przysunął się bliżej i był już o centymetry od jej twarzy. Ostrożnie, upominał siebie w duchu. Dotknął lekko jej podbródka i unióś go w górę. Serce tłukło mu się w piersi

i widział też, jak szybko porusza się niebieska żyłka na szyi Katherine.

- Colin, nie wiem, dlaczego to robisz. Ja...

Była trochę przestraszona, ale to coś innego przyspieszało jej oddech i ogarniało ciepłem. Serce biło gwałtownie, ciepło zmieniało się w żar, usta drżały. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że chce tego pocałunku, że pragnie kontaktu z mężczyzną. Tym mężczyzną, który był dla niej zupełnie obcy, ale zdołał sprawić, że obudziły się w niej uczucia, o których myślała, że zasnęły na zawsze.

Jego twarz była tak blisko, że stała się jak za mgłą. Czuła jego oddech, a potem dotyk delikatny jak powiew, i musiała przymknąć oczy. Wargi miał miękkie, cudownie ciepłe, poruszały się powoli, ale sprawiały, że jej ciało zaczęło płonąć. Silne ramię objęło ją, a ona zadrżała i w tej samej chwili uścisk zelżał, jakby Colin czekał, aż ona się uspokoi.

Strach gdzieś zniknął, czuła się bezpieczna w jego objęciach. Wróciło uczucie, jakiego nie doznała od lat - poczuła się kobieta, czuła się pożądana.

Uświadomiła sobie, że pocałunek się skończył. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Colin jej się przygląda. Wzrok miał tak ciężki od pożądania, że strach przygalopował skądś znowu, a wtedy Colin puścił ją i zaczął poprawiać coś na kominku.

- Nie myślałam, że coś takiego jest możliwe. Sprawiliś, że znów potrafię czuć.

- Nic takiego nie zrobiłem. To ty byłaś gotowa do tego, co się stało. Wiesz - mówił dalej lekkim tonem, - pomyślałem sobie, że ilekroć będę przejeżdżał obok miejsca, gdzie wsiadłaś do mojego samochodu, albo przez tę uliczkę z garażem, gdzie się schowaliśmy, będę wspominał spotkanie

z tobą, a wtedy ty poczujesz jakieś dziwne ciarki czy coś takiego, a to będą moje myśli.

Mówiąc to wiedział, że po jej wyjeździe nic już nie będzie takie jak dawniej - chyba że z czasem wspomnienia zbledną i z powrotem przyzwyczai się do samotności. Dlaczego właśnie ona wywiera na nim takie wrażenie?

- Wiesz, cieszę się, że już nie pracujesz w policji, bo to niebezpieczne zajęcie. Czy zdarzało się, że ktoś cię tutaj nachodził? Musiałeś strzelać w swojej obronie tak jak dzisiaj?

- Nie.

Nagle Katherine jęknęła i głośno wciągnęła powietrze. Pomyślał, że naszły ją jakieś złe wspomnienia.

- Co się stało?

- Nic - odparła, potrząsając głową. Znowu była spokojna.

- Masz bezpośrednie połączenie do Kalifornii?

- Nie, przesiadam się w Phoenix. W San Francisco powinienam być około siódmej wieczorem. Rano muszę zatelefonować do Pauli.

- Nie chcesz zawiadomić jej teraz?

- Lepiej poczekam, aż... - przerwała nagle i z grymasem bólu zacisnęła powieki. Potem otworzyła je i spojrzała jakoś dziwnie.

- Katherine? Co się dzieje?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zagryzała z bólu wargi i zbladła, aż wreszcie Colin domyślił się, co mogło się stać.

- Masz bóle?

- Nie wiem, chyba nie - odparła, odwracając wzrok. - Może to tylko jakaś kolka.

- O Boże! - Colin przez chwilę nasłuchiwał, co działo się za oknem, ale oczywiście było, że nigdzie nie pojadą.

- Nic mi nie jest. - Twarz Katherine wykrzywił znowu grymas bólu. - Och!

- Katherine?

- To był okropny ból - powiedziała, patrząc na niego ze strachem. - Przecież muszę jechać do Kalifornii. Nie mogę teraz urodzić dziecka. Nawet nie dostaniemy się do szpitala.

- Położyła dłoń na brzuchu, żeby wyczuć skurcze. - A może to fałszywy alarm? - spytała z nadzieją w głosie, ale zaraz uświadomiła sobie, że jeśli zacznie rodzić, to musi urodzić to dziecko tutaj, bez żadnej pomocy. - Ból ustąpił - odezwała się.

- Powiedz mi, kiedy będzie następny, sprawdzę odstęp - odparł, patrząc na zegarek. - Znam dobrego doktora. Składał mnie, kiedy spadłem z konia, i zajmuje się także obrażeniami u moich ludzi. Jest ortopeda, ale poproszę, żeby polecił mi jakiegoś położnika. Zaraz do niego zadzwonię.

- A! Znowu ten ból - powiedziała. - Chciałabym zejść na podłogę.

Wstał, uniósł ją i postawił na podłodze. Chwyliła go z całej siły i wpiła się paznokciami w ramię. Na moment ogarnęła go panika.

- Mniej niż dwie minuty. To znaczy, że poród się zbliża. Ciekawe, czy dziecko wie, jak się przychodzi na świat?

Katherine spojrzała na niego przerażona, ale przytomniej i Colin domyślił się, że ból ustępuje.

- Mówiłeś, że już to robiłeś?

- Tak, ale za pierwszym razem tuż po urodzeniu dziecka zjawilo się pogotowie, a za drugim razem właśnie podjechaliśmy pod szpital. Poza tym to było kilka lat temu, no i ja nie jestem lekarzem - odparł, myśląc przez cały czas o tym, jak dostarczyć Katherine do szpitala.

- Przypomnisz sobie wszystko. Może powinniśmy przejść do sypialni?

Przez chwilę myślała, że Colin zemdleje, więc chwyciła go mocno, żeby go przytrzymać. Poczul uścisk jej dłoni i nagle pozbył się strachu. Katherine potrzebowała teraz jego pomocy, a nie wahania czy obaw. On nie jest lekarzem, ale musi odebrać dziecko. Przez moment pomyślał, żeby zawołać kogoś z pracowników do pomocy, ale szybko odrzucił ten pomysł. Żaden z nich nie miał przecież nawet tyle doświadczenia, co on sam.

- Chodźmy - powiedział z energią i wstał.

Katherine poszła za nim do sypialni. Bała się bardzo i ogarniał ją wstyd. Przecież to prawie obcy mężczyzna, a będzie asystował jej przy porodzie. Poza tym jest taki męski, przystojny. Czuła, że twarz ją pali.

- Nie można stąd się wydostać?
- Zatelefonuję po śmigłowiec sanitarny. Może przylecą zabrać cię do szpitala w Tulsa.

Colin zaczął dzwonić, a Katherine podeszła do łóżka, z którego zdążył już zdjąć pościel. Zastanawiała się, co zrobiłaby, gdyby poród zaczął się w samolocie.

- Potrzebny jest śmigłowiec - mówił tymczasem Colin do telefonu. - Kobieta rodzi...

Zamilkł, więc ona odwróciła się i spojrzała na niego. Miał wzburzony wyraz twarzy. Nagle targnął nią tak ostry ból, że wszystko inne stało się nieistotne. Nie miała już wątpliwości, że zaczyna się poród. Poczuła, że coś ciepłego cieknie jej po wewnętrznej stronie ud.

- Colin, nie możemy czekać na śmigłowiec. Wody odchodzą.

Słyszała, że odłożył słuchawkę, ale nie miała pojęcia, jak skończyła się rozmowa.

- Może włoż jakąś moją koszulę, żeby nie być w tym swetrze, dobrze?

Skinęła głową i wzięła koszulę z jego rąk.

- Jak tylko się przebierzesz, połóż się na łóżku.

Słyszała, że wyszedł do łazienki i włączył kran. Domyśliła się, że myje ręce. Drżącymi dłońmi zdjęła z siebie ubranie i rzuciła je na podłogę.

- Colin, przynieś ręcznik.

Odwróciła się i zobaczyła, że Colin już rozłożył ręczniki na łóżku.

- Przepraszam..! wszystko zwałam na ciebie.

- Niczym się nie zajmuj - odparł.

Ból znów porwał ją w swoje szpony, a ona kurczowo

uchwyciła się łóżka. Colin potrzyzymał ją i czekali, aż skurcz minie, a potem pomógł jej się położyć.

- To straszne - powiedziała, odgarniając włosy z twarzy.
- Ty nie jesteś lekarzem, a ja nie wiem, czy zdołam wsiąść do tego helikoptera...

- Na razie nie będziesz musiała. On jest w tej chwili używany w jakiejś innej akcji. Pamiętaj, że już to kiedyś robiłem, zaś oni powiedzieli, że mam dzwonić do nich i na bieżąco będą mi podpowiadać, co robić. Teraz muszę coś przygotować.

Nadeszła kolejna fala bólu i narastała aż do chwili, kiedy wyparła wszystko inne ze świadomości Katherine. Potem znów ból zelżał.

- Czy możesz przesunąć się w dół łóżka? W ten sposób będzie mi wygodniej.

Katherine skinęła głową, a Colin pomógł jej przemieścić się, a potem podłożył jej pod plecy poduszkę.

- Colin - szepnęła, chwytając go za rękę w kolejnym skurczu.

- Zdarzają się coraz częściej - powiedział, przytrzymując ją i jednocześnie spoglądając na zegarek. - Zadzwoń do lekarza.

Ogarnięta bólem, Katherine nie słyszała rozmowy. Po chwili, kiedy Colin znów był przy niej, bóle ustąpiły.

- Lekarz powiedział, że przy takiej częstotliwości skurczów i odejściu wód płodowych, możesz już przeć w trakcie skurczu. Najwyraźniej dziecko zdecydowało się, że to ma nastąpić dzisiaj.

Przy następnym skurczu Colin przyklęknął przy niej, jednocześnie rozmawiając z kimś przez telefon. Ból stawał się nie do wytrzymania i jak przez mgłę słyszała tylko jego słowa: „Przyj, Katherine, przyj mocniej”.

Potem ból minął, więc leżała, dysząc, z trudem chwytając powietrze w płuca, w chwilach odpoczynku jeszcze bardziej świadoma obecności tego mężczyzny. Dochodziły do niej słowa otuchy, jakie wypowiadał, ale bała się kolejnej fali skurczów. Nie wiedziała, czy będzie tak musiała cierpieć przez całą noc. Colin odłożył słuchawkę.

- Czy to oznacza komplikacje?...

Nie dokończyła, porwana następną falą bólu, i musiała zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. Wydawało się, jakby jej ciało nie należało już do niej, ale było kierowane jakąś potężną, złowrogą siłą, nad którą nie potrafiła panować.

- Przyj, przyjm mocno. Wszystko idzie dobrze.

Kiedy bóle na moment ustąpiły, poczuła, jak Colin wyciera jej czoło wilgotnym ręcznikiem.

- Nie myśl o żadnych komplikacjach. Śmigłowiec niedługo ma być wolny i dadzą nam znać, kiedy wystartują.

- Colin!

- Trzymaj. Trzymaj się łóżka i przyjm!

Starła się robić to, co jej kazał. Oszołomiona bólem, kierowała się tylko tym, co mówił jej jego silny, dodający odwagi głos.

- Wystarczy, przestań przeć. Teraz możesz chwilkę odpocząć. Świetnie sobie radzisz.

Straciła poczucie czasu. Wszystko dzieliło się na okres skurczu, który była w stanie przetrwać tylko dzięki jego pomocy, oraz chwilowe przerwy, podczas których usiłowała zebrać siły. Chciała wyć z bólu, ale chociaż Colin doradził jej, żeby krzyczała, jeśli jej to przyniesie ulgę, ona miała usta zaciśnięte.

Colin ocierał jej czoło, odgarniał włosy ze spoconej twa-

rzy. Tak bardzo chciał jej ulżyć, ale nie był w stanie. Podziwiał ją za to, że rodziła dziecko bez poparcia i opieki rodziny, bez niczego, co złagodziłoby ból, a prawie nie wydawała z siebie jęków. Kiedy targały nią bóle, dałby wszystko, żeby je od niej odsunąć. Miał nadzieję, że chociaż nie daje jej odczuć obaw, jakie go nie odstępowały. Modlił się w duchu, żeby urodziła jak najszybciej i bez komplikacji.

- Tak, przyj! Tak! Widzę główkę. Przyj jak najmocniej...

Próbowała robić tak, jak jej mówił, i nagle poczuła, jakby coś pędziło ją do przodu i że podczas bardzo silnego skurczu dziecko wreszcie wydostaje się na świat.

- Jest! Jest dziecko - wołał Colin, nie posiadając się z radości. - Dziewczynka. Nasza piękna dziewczynka.

Poczuła, że położył jej coś na brzuchu, i spojrzała na małą twarzyczkę noworodka. Wyciągnęła dłoń i dotknęła końcem palca rudych włosów, przylepionych do główki.

- Emily. Moja Emily.

Colin tymczasem znów rozmawiał z kimś przez telefon, przytrzymując słuchawkę ramieniem.

- Przeciąłem pępowinę i podwiązałem ją - mówił, jednocześnie delikatnie ugniatając jej brzuch.

Spojrzała na niego. Był taki cudowny, bez niego nie poradziłyby sobie w tym najtrudniejszym momencie życia. Teraz wydało jej się zupełnie naturalne, że był przy niej i pomagał w tym wszystkim.

- Śmigłowiec jest już w drodze - powiedział, odkładając słuchawkę.

- Nie! Nie chcę nigdzie jechać. Przecież już po wszystkim...

- Musi was zbadać lekarz - tłumaczył cierpliwie Colin, owijając ją czystym prześcieradłem.

Krzątał się, podkładając pod nią czysty ręcznik i usuwając zabrudzone prześcieradła i ręczniki. Na moment opuścił ją, żeby się obmyć, ale zaraz wrócił i unosząc jej biodra lekko w górę, znowu zmienił ręcznik na świeży.

- Ja niczego tutaj nie mam, a wy będziecie potrzebowały wielu rzeczy.

- Colin, tak ci dziękuję - szepnęła ze łzami w oczach Katherine.

Przysiadł obok niej na łóżku i odgarnął jej włosy z czoła, a następnie ostrożnie pochylił się, żeby ją delikatnie uścisnąć.

- Byłaś wspaniała - powiedział z uśmiechem. - Nigdy nie miałem lepszej pacjentki. Jesteś naprawdę dzielna.

- Dlaczego dzielna? To chyba naturalne, że kobieta rodzi dziecko.

- Widziałem wiele razy, jak w trudnych sytuacjach silni na pozór mężczyźni tracili głowę. Ty zaś walczyłaś ze wszystkich sił. - Wyciągnął ramiona i wziął od niej małą. - Zobaczysz, co będzie się działo, kiedy moja mama się dowie. Zjawi się w okamgnieniu.

- Przecież mówiłeś, że lecimy do szpitala.

- Tak, ale to jest policyjny helikopter, który zawiezie cię do Tulsy. Nie było innej możliwości, więc musiałem to załatwić. Nie bój się, polecę z tobą, a potem oni dostarczą nas tu z powrotem. Wtedy zaś mama zmusi ojca, żeby ją tu przywiózł - wszystko jedno czym, traktorem, saniami... Ej, po co płakać - powiedział na widok łez w jej oczach. - A teraz idę obmyć trochę Emily - dodał, patrząc z czułością na trzymane w objęciach maleństwo.

Katherine była zdumiona jego stosunkiem do dziecka. Raczej spodziewałaby się, że niemowlęta są na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o interesujące Colina rzeczy. A tu okazuje się, że on nie spuszcza wzroku z dziecka i przemawia do niego czule, mrużąc jakieś niezrozumiałe słowa. Teraz oboje zniknęli w łazience, a ona przymknęła oczy i próbowała odpocząć, chociaż nogi wciąż jej się trzęsły i cieszyła się, że nie musi wstawać, bo na pewno skończyłoby się to upadkiem.

- Colin! - zawołała nagle.

- Co się stało? - Wyszedł z łazienki z Emily zawiniętą w zielony ręcznik.

- Nic. Chciałam tylko wiedzieć... czy chociaż w przybliżeniu wiesz, o której się urodziła?

- Dokładnie cztery minuty po północy, dwudziestego drugiego lutego - odparł. - A teraz pójdę zważyć ją na mojej wadze do ryb.

- Wadze do ryb?

- Ważę na niej złowione ryby. Jest bardzo dokładna, co do dekadrama. Tak, maleńka. Zważymy cię na niej, moja rybeńko - mówił, idąc z dzieckiem do kuchni.

Katherine uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, jak tego samego dnia stał w kuchni ze strzelbą w rękach, gotów odprzeć każdy atak, a teraz waży maleństwo, przemawiając do niego czule.

Wrócił rozpromieniony, a ona przyglądała się z podziwem jego rozradowanej twarzy, muskularnym ramionom, opalonej piersi widocznej w rozpiętej koszuli.

Colin ułożył Emily przy niej i sam usiadł obok.

- Waży dokładnie trzy kilogramy i trzydzieści siedem

deko. Moim zdaniem to bardzo odpowiednia waga dla takiej młodej damy.

Katherine odsunęła rąbek ręcznika z twarzy dziewczynki.

- Wcale nie płakała - zauważyła.

- Jak chcesz, to zaraz ją skłonię do płaczu.

- Nie! Nie wygłupiaj się. Powiedz, co teraz mam robić?

- Nic. Zapakują was do śmigłowca i polecimy do Tulsy, a potem jutro czy wówczas, kiedy cię wypiszą, odstawią nas z powrotem.

- Nie mam nic do ubrania.

- Zawiniemy cię i przykryjemy kocem. Nie przejmuj się, oni przylecą niedługo i wszystkim się zajmą.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała Katherine, przytulając do siebie dziecko i patrząc na Colina z wdzięcznością.

Napotkał jej wzrok i poczuł, że istnieje między nimi więź, jakiej doświadczył do tej pory tylko raz w życiu, z Daną. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Dobrze się spisałaś, mała - powiedział.

- Ty też - odparła. - Aha, gdzie są moje spodnie i buty? Będą mi potrzebne przy wyjściu ze szpitala.

- Nie martw się. Wszystko ci spakuję - zapewnił, ale wciąż siedział przy niej, jakby trudno mu było oderwać się od nich. - Moja mała Emily. Taka maleńka. Wiesz, ona jest bardzo podobna do ciebie - silna, chociaż taka drobniutka i delikatna.

- Jeszcze nikt mi nie powiedział, że jestem drobniutka - odparła Katherine, śmiejąc się. - Nie przy moim wzroście.

- Dla mnie jesteś drobniutka.

Nagle chwyciła jego dłoń i przycisnęła sobie do policzka. Dostrzegł łzy, które zawisły na rzęsach.

- Jestem taka szczęśliwa. Gdyby nie ty... dzięki tobie... Nie poradziłabym sobie sama... - Zaciśnięła powieki, a łzy już spływały jej po twarzy.

- Kochanie, nie płacz. Nie płacz. Masz przecież swoją córeczkę.

W końcu. Katherine uśmiechnęła się i otarła oczy.

- Na twoją cześć nazwę ją Emily Colin.

- Ani mi się waź! Co to za imię dla dziewczynki?

- Jak dorośnie, wytłumaczę jej, skąd to imię, i na pewno będzie zadowolona.

- Z czego? Że ma imię po jakimś facecie, którego nigdy nie widziała na oczy? Nie rób jej tego. Nawet moja matka byłaby temu przeciwna.

- Dobrze, jeszcze to przemyślę.

- Pójdę zatelefonować.

Pocałował ją lekko i wstał, chociaż tak naprawdę chciał wziąć je w objęcia i powiedzieć, że pragnie ich obu i będzie się nimi opiekował i chronił. Rozumiał, że wciąż jeszcze jest pod wrażeniem przebytego doświadczenia i trudno mu opłacać emocje, ale nie chodziło tylko o to. Chciał, żeby one były tu dziś, jutro i zawsze. Patrzył na Emily i czuł, że kocha ją z całego serca i znów miał ochotę wziąć ją na ręce. Głos matki w słuchawce telefonu przerwał wreszcie te myśli.

- Cześć, mamó. Mam niespodziankę. - Odczekał chwilę i mrugnął do Katherine porozumiewawczo. - Jest tu z nami maleństwo.

Do Katherine dochodził głos matki Colina, ale nie rozumiała, o czym mówi.

- Ja ją odebrałem - opowiadał Colin z dumą, a potem ze słuchawki zaczął wylewać się potok niezrozumiałych słów. - Nie, mam, poczekaj. Teraz jest burza, a po nas przyleci śmigłowiec. Tak. To znaczy, nie. Policyjny. Polecimy do szpitala do Tulsy. Wrócimy pewnie jutro. Oczywiście. Jak tylko będziemy z powrotem. Tak, zadzwonię do ciebie ze szpitala. Obiecuję.

W końcu odłożył słuchawkę i spojrzął na Katherine.

- Słyszałaś, co mówiła mama? O mało nie eksplodowała z radości. Już chciała iść tutaj w tę burzę i pewnie zrobiłaby tak, gdybyśmy nie wyjeżdżali. No dobrze, muszę nas przyszykować.

Myślała o tym, że powinna prosto z Tulsy polecieć do Kalifornii i nigdy już nie wracać na ranczo Colina. Po co miałaby tu wracać? Miała poczucie, że traci coś nadzwyczaj cennego, ale nic nie może na to poradzić. Przyglądała się Colinowi, jak chodził po pokoju, rozpinął koszulę i zdejmował ją, nie przejmując się wcale jej obecnością, jakby mieszkali razem już od lat. Nie mogła oderwać od niego wzroku, kiedy rozpinął pasek, sięgał do komody po bieliznę, wyjmował z szafy koszulę.

- Idę wziąć prysznic - powiedział. - A tak w ogóle, to nie sądziłem, że kobieta, która właśnie urodziła dziecko, będzie patrzyła z takim zainteresowaniem na mężczyznę - dodał, puszczając do niej oko.

Wyszedł, a ona została, cała oblana rumieńcem. Tak, musi lecieć jak najprędzej do Kalifornii. Na pewno burza niedługo się skończy i samoloty będą latać według rozkładu. Musi tylko szybko wrócić do sił. Pomyślała o czekającym ich poźegnaniu i o tym, że będzie ono bardziej bolesne niż najgorsze lanie, jakiego doznała od Sloana.

Pocieszała się, że wkrótce zapomni o tym, co czuła w obecności Colina. W końcu знаła go od niedawna i tylko okoliczności sprawiły, że stało się to takie ważne. Jej życie będzie toczyło się spokojnie, swoim torem i o Colinie będzie myślała tylko jako o tym, kto pomógł jej dziecku przyjść na świat.

Przymknęła oczy i zaczęła modlić się, żeby udało jej się o nim zapomnieć. Przecież on pojawił się w jej życiu tylko na chwilę i akurat wypełnił pustkę, jaką nosiła w sobie, ale czas wszystko załagodzi. Tyle że w tej chwili najbardziej na świecie pragnęła zostać z nim, w jego domu, w jego objęciach.

Colin wyszedł z łazienki, a jej serce zabiło gwałtownie. Był taki męski i przystojny. Obcisłe dżinsy uwydatniały zgrabne nogi, wilgotne jeszcze włosy zaczesał do tyłu i związał rzemykiem.

- Jeszcze tylko porozmawiam z zarządcą - powiedział, podchodząc do telefonu.

Z zamkniętymi oczami słuchała, jak tłumaczył komuś, że wyjeżdża na dzień lub dwa. I jak z dumą opowiadała o Emily i o tym, że pomagał jej przyjść na świat.

Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok. Uśmiechnął się, a ona też uśmiechnęła się w odpowiedzi. Chciała zarzucić mu ręce na szyję i zapragnęła, żeby ją pocałował. Po tym, co zaszło tej nocy, przepełniała ją w stosunku do niego podobna czułość, jaką żywiła względem Emily.

Nagle poczucie ciepła i bezpieczeństwa zniknęło, kiedy zobaczyła, że on sięga po rewolwer i wkłada go za pasek od spodni. Zrobiło jej się zimno na wspomnienie tego, co groziło jej, gdy opuści to schronienie. Jej i bezbronnemu dziecku, o które musi się troszczyć.

- Nie bój się - powiedział na widok jej przerażonych oczu. - Przecież mówiłem, że muszę czuwać nad tobą w szpitalu.

- Nie powinnam była ciebie w to wciągać.

- Dzięki temu miałem szansę pierwszy poznać Emily - odparł z uśmiechem. - Nie chciałbym przegapić tej możliwości. Za żadne skarby.

- Powinnam zostać w Tulsa aż do odlotu do Kalifornii - powiedziała prędko. Czuła, że jeśli nie powie tego od razu, nie zdobędzie się na to już nigdy. Miała wrażenie, że traci coś bardzo cennego.

Colin przez chwilę nie odzywał się i już myślała, że nie słyszał tego, co powiedziała.

- Nie będziesz jeszcze na tyle silna, żeby im uciec - powiedział wreszcie. - Zwłaszcza z niemowlęciem. Zostaniesz tutaj do czasu, aż nabierzesz sił.

- Chyba nie powinnam.

- Przecież gdybym tego nie chciał, tobym cię nie zapraszał. Nie boję się tych facetów.

- Nie chodzi mi tylko o niebezpieczeństwo - odparła Katherine z wahaniem, a potem zaczerwieniła się. - Coś się ze mną dzieje, kiedy jestem blisko ciebie.

- Boisz się, że przypadkiem się zakochasz? - spytał wprost i wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Nie! Po prostu czeka mnie nowe życie i w Kalifornii muszę wszystko zacząć od początku.

- W takim razie nie ma powodu, żebyś nie mogła zostać tu przez jakiś czas - powiedział, skrywając rozczarowanie.

- Odpoczniesz, dojdiesz do zdrowia, a potem sobie pojedziesz.

Katherina patrzyła na niego i myślała o swoim małżeństwie ze Sloanem. Od samego początku było jedną wielką pomyłką. Była za młoda i chciała utrzymać ten związek, chociaż tak naprawdę nie było czego utrzymywać. Sloan zdradzał ją, kłamał, nigdy nie było między nimi prawdziwej miłości i więzi. Przez te wszystkie lata ani razu nie poczuła takiego ciepła, jakiego doznała od Colina. On był naprawdę wyjątkowym mężczyzną i miała nadzieję, że jeszcze spotka go w życiu szczęście.

- Colin? Ile ty masz lat?

- Trzydzieści jeden. - Przechylił głowę, nasłuchując, a potem spojrzął w okno. - Słyszę helikopter.

Ona niczego nie słyszała, ale Colin wyszedł i po paru minutach rzeczywiście rozległ się rytmiczny warkot. Potem w domu słyhać było jakieś głosy, trzaskanie drzwi i wreszcie pojawili się przy niej policjanci i sanitariusz z noszami. Colin doglądał, kiedy wkładali ją na nosze, i jednocześnie sam szykował się do drogi. Akurat, odwrócony, szukał rękawic, kiedy usłyszał jej ostry krzyk protestu.

- Nie! Ona musi być ze mną.

Nigdy jeszcze nie słyszał u niej tak zdecydowanego tonu. Uśmiechnął się, widząc, że sanitariusz posłusznie oddaje jej Emily. Tak, wydawałoby się, że jest taka delikatna, wrażliwa, a oto nagle pokazała lwi pazur. Domyślał się, że to Emily wyzwala w niej taką siłę i zdecydowanie. Mrugnął do Katherine i uniósł w górę kciuk.

Po niedługim czasie byli już w śmigłowcu i wznosili się nad posiadłością Colina. Mimo ciemności, przyglądał się pokrytej śniegiem okolicy. Miał nadzieję, że tamci mężczyźni są gdzieś w pobliżu i widzą odlatujący helikopter. Może pomyśla, że ona już tu nie wróci.

Spojrzał teraz na małą kruszynkę w ramionach matki. Nie wiadomo dlaczego zaczęło mu tak bardzo zależeć na małej. Przecież to bez sensu. Zobaczył, że Katherine też mu się przygląda, i wróciły w pamięci tamte pocałunki. Właściwie nic wielkiego - trzy przelotne muśnięcia, niewarte zapamiętania, ale od razu poczuł pożądanie.

Sam dziwił się, jak udało się tej kobiecie zdobyć jego serce. Przecież powinien wsadzić ją do samolotu i rozstać się z nią na zawsze. Ona zresztą nie protestowałaby wcale. Tak, to jedyna rozsądna rzecz do zrobienia w całej tej sytuacji.

Katherine obserwowała go i zastanawiała się, o czym może teraz rozmyślać. Jej samej wydawało się, że oto oddala się od jedyne go prawdziwego domu, jaki miała od czasów dzieciństwa. Mocniej objęła ramieniem śpiącą córeczkę i wyciągnęła drugą rękę do Colina, a on ujął jej dłoń i trzymał mocno.

W szpitalu zaraz zajęto się nią i Emily, a Colin poszedł załatwiać formalności.

Potem siedział w pustej poczekalni. Wstawał niecierpliwie, przemierzał pokój, znów siadał, wreszcie zaczął przeglądać stare pisma leżące na stoliku. Kartkował je bezmyślnie, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Na dwóch środkowych stronach zobaczył nazwiska i zdjęcia polityków, zaś między nimi widniał Sloan Manchester.

Colin widział go już kiedyś w telewizji, ale jego wizerunek jakoś nie utrwalił mu się w pamięci. Teraz z uwagą przyglądał się zdjęciu, na którym były mąż Katherine uśmiecha się i macha do kamery. Poczuł narastający gniew. Mężczyzna ten był zapewne obiektem westchnień wielu kobiet - wysoki, jasnowłosy, o ujmującym uśmiechu. Bezwiednie zgniótł pismo w rękę. Ktoś musi zatrzymać Manchestera w drodze na

fotel gubernatora. Tak, ktoś musi zrobić porządek z tym dra-
niem. Cisnął magazyn z powrotem na stolik i znów zaczął
spacerować aż do chwili, kiedy zawołała go pielęgniarka.

- Pani Katherine jest już umieszczona w pokoju i może
pan się z nią zobaczyć.

Pojechał windą, przez cały czas myśląc o tym, że najlepiej
byłoby wsadzić Katherine do samolotu. Jest na tyle silna, że
jej to nie zaszkodzi. Tam zresztą będzie bezpieczna, a on nie
musiałby martwić się o bezpieczeństwo swoje, swoich pra-
cowników, rodziców i żyć w stałej gotowości. A także nie
musiałby toczyć nieustającej walki z pragnieniami swojego
ciała. Wiedział, że jeśli Katherine wróci do jego domu, nie
będzie potrafił trzymać się od niej z daleka.

Ona też jest dorosła i potrafi decydować za siebie, pomy-
ślał. Mówiła, że chce jechać do Kalifornii. Tam na pewno
wszystko jej się ułoży, a i on sam będzie szczęśliwy, kiedy
odzyska dawny spokój. Wiedział jednak, że sam sięoszukuje,
bo tęskniłby za nią ogromnie.

Drzwi windy otworzyły się i do środka weszło dwóch
mężczyzn. Colin od razu stał się czujny i przyglądał im się
uważnie. Na szczęście okazało się, że to fałszywy alarm,
gdyż mężczyźni wysiedli na następnym piętrze.

Pozwól jej odjechać, powtarzał sobie, wychodząc z windy
i zaglądając do pokoju. Katherine spała na łóżku, a Emily
obok niej w małym łóżeczku. Podeszedł na palcach, żeby na
nią spojrzeć, wciąż nie mogąc wyjść z podziwu, że on sam
pomagał jej przyjść na świat. Paluszki miała zaciśnięte w pię-
stki i spała na boku. Dotknął delikatnie jej policzka myśląc
o tym, jak też będzie wyglądała, gdy dorośnie. Pochylił się
nad łóżeczkiem i leciutko pocałował ją w czubek głowy.

- Moja maleńka - wyszeptał.

Potem odwrócił się do Kathenne, która spała na plecach, z włosami rozsypanymi na poduszce. Przesunął wzrokiem po jej kształtach pod cienkim przykryciem i zapragnął położyć się przy niej i objąć ją mocno. Bojąc się, że nie zapanuje nad sobą, podszedł do okna i wyjrzał na wypełniony samochodami parking. Ciekawe, czy tamci jechali za nimi? Nie byli, oczywiście, w stanie dogonić helikoptera, ale nietrudno przecież byłoby odgadnąć, co mogło się stać, i poszukać swojej ofiary w szpitalach. Na pewno też czuwali już na lotnisku.

Wziął krzesło i ustawił je obok dziecinnego łóżeczka, włączając nie siedzieć zbyt blisko Katherine. Oparł się wygodnie plecami, ułożył nogi na stoliku i natychmiast zapadł w sen.

Przez sen usłyszał cichy szmer i natychmiast zerwał się na równe nogi, a ręka automatycznie sięgnęła po pistolet.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Przepraszam - powiedział szybko, patrząc na wystraszoną pielęgniarkę, trzymającą w dłoni papierowy kubeczek.
- Spałem i przestraszyło mnie pani wejście. Już wychodzę. Nie przeszkadzam pani - dodał i opuścił pokój.

Postanowił pójść na śniadanie i pozałatwiać pilne telefony. Potem wynajął samochód i ruszył na zakupy. Do szpitala wrócił już po godzinie, cały obładowany paczkami.

Katherine i Emily jeszcze spały, więc ostrożnie położył zakupy na krześle i zaczął czegoś wśród nich szukać. Po chwili znalazł to, czego chciał - różowego pluszowego królika - i ułożył go w nogach łóżeczka. Przez jakiś czas przyglądał się śpiącej maleńkiej, a potem usiadł na krześle.

Wtedy właśnie Katherine poruszyła się. Przeciągnęła się leniwie, rozrzucając szeroko ramiona. Otworzyła powoli oczy, zobaczyła go i uśmiechnęła się do niego.

Poczuł, jak ogarnia go płomień pożądania. Te jej uwodzicielskie, choć zapewne nieświadome ruchy, ten kuszący uśmiech. Na dodatek jeszcze wyciągnęła dłoń w jego stronę, przywołując go bliżej. Nie potrafił się jej oprzeć. Nie byłby w stanie, nawet gdyby miało od tego zależeć jego życie. Podeszedł do łóżka, a ona ujęła jego dłoń i przyłożyła sobie do policzka.

- Jeszcze raz dziękuję ci za wczorajszą pomoc - powiedziała cicho.

On już nie myślał o dniu wczorajszym, tylko walczył z chęcią położenia się obok niej. Nie chciał, żeby zauważyła, co się z nim dzieje, więc tylko pocałował ją w policzek i wycofał się do łóżeczka Emili.

- Czy ona nie jest piękna? - spytała Katherine radosnym głosem.

- To najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałem - odparł, nie patrząc na nią.

- Akurat! - odparła ze śmiechem. - A co tam leży obok niej?

- Pierwsza zabawka Emili - odparł, z dumą unosząc królika, żeby mogła go zobaczyć.

- Dziękuję, jesteś kochany. Wiesz, doktor powiedział, że wyniki badań wypadły świetnie. To znaczy, że Emili jest zdrowa i w dobrej kondycji, a twoja waga musi być naprawdę dokładna, bo podali mi ten sam wynik, jaki ty odnotowałeś.

- A jak czuje się jej mama? Chyba pójde porozmawiać z lekarzem.

- No to musisz go poszukać. Możesz mi podać moją torbę? Leży tam, w szafce.

Znalazł torbę i przyniósł jej do łóżka.

- Nie sądzę, żeby tu byli zachwyceni, gdyby dowiedzieli się, że nosisz w niej pistolet.

- A od kogo mają się dowiedzieć? - odparła, szukając czegoś w torebce i wyjmując duży zwitek banknotów. - Tylko nie waż się protestować, ale chcę sama zapłacić za nasz pobyt tutaj.

- To nie do wiary! Jak możesz nosić przy sobie tyle pieniędzy! To cud, że nikt ci tego nie ukradł. Tyle osób się tu kręci.

- Muszę nosić gotówkę. Wycofałam wszystkie moje pieniądze z banku, żeby Sloan czegoś nie wymyślił, no i żeby nie trafił na mój ślad po czekach albo karcie kredytowej. Proszę, pozwól mi...

- Nic z tego - odparł stanowczo, patrząc jej prosto w oczy. - Schowaj te pieniądze. Dopóki jestem z tobą, nie zapłacisz ani centa.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem Katherine powoli włożyła pieniądze z powrotem do torby i zamknęła ją.

- Dziękuję - powiedziała.

- Pomyślałem, że potrzeba ci jakichś ubrań. Nie wiem tylko, czy udało mi się kupić właściwy rozmiar. Wziąłem twoje stare rzeczy, żeby porównać w sklepie - dodał, kładąc przy niej pakunki.

- Ale za to muszę ci zwrócić pieniądze.

- Nie, nie musisz.

- Chcesz zniszczyć naszą przyjaźń przez te ciągłe kłótnie?

- Nie. Przecież wcale się z tobą nie kłócę, tylko robię to, na co mam ochotę. Przyjmij to jako prezent dla Emily.

- Ale ty jesteś uparty.

- Podobno.

Śmiejąc się, otworzyła pierwsze pudełko i wyjęła jaskrawoczerwony sweter.

- Skąd wiedziałeś, że to mój ulubiony kolor?

- Mam intuicję - skłamał, gdyż przez cały czas miał wąt-

pliwości, że może jej się nie spodobać ze względu na rude włosy.

- Nie wiem, czyja się w nie zmieszczę - mówiła Katherine, odpakowując dzinsy.

- Na pewno.

Teraz z kolei zainteresowała ją elegancka biała torba.

- A co jest tutaj?

- W tym pomagała mi sprzedawczyni. Ja sam tak naprawdę wybrałem tylko sweter.

- I nie wiesz, co tam jest.

- Wiem, przecież to kupiłem. Ona mi tylko pomagała.

Katherine zarumieniła się na widok wspaniałej, koronkowej bielizny. Właściwie przyzwyczała się do prostych, barchanowych rzeczy, żeby nie wyglądać pociągająco w oczach Sloana. Myślała o Colinie wybierającym to dla niej i zrobiło jej się gorąco.

- Właśnie tego potrzebowałam - powiedziała, patrząc na specjalny biustonosz do karmienia. Pod nim leżały czerwone, koronkowe majteczki, następnie fioletowe... - Chyba nie mam co powtarzać, że nie musiałeś tylu rzeczy mi kupować.

- Słusznie. Jak zwykle odpowiem ci, że miałem na to ochotę.

Jeszcze dwa pudełka zostały na łóżku. W mniejszym znalazła śliczną różową sukieneczkę z falbankami oraz buciki i czapczkę do kompletu.

- Jakie to piękne! Dziękuję, Colin. Emily będzie wyglądała w tym jak laleczka - mówiła, zaglądając z zaciekawieniem do większego pudła, które pochodziło z tego samego sklepu, co torba z bielizną. W środku zaś była wspaniała

koszula nocna i szlafrok z czerwonego jedwabiu. Takie piękne, że przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Dziękuję ci.

- Proszę bardzo. Gdyby dzinsy nie pasowały, to mogę je wymienić. Kupiłem też jeszcze trochę rzeczy dla Emily - dodał, wskazując na nosidełko dla niemowląt, z którego wystawały w tej chwili paczki z pieluchami, ubranka i butelki.

- Colin, nie musiałeś...

- Ależ mnie to sprawiło wielką przyjemność. Gdyby... - nie dokończył, gdyż rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł mężczyzna w lekarskim kitlu.

- Jestem doktor Lowery - powiedział, wyciągając rękę na powitanie.

- Colin Whitefeather.

- To pan odbierał poród? Dobra robota. Matka i dziecko czują się świetnie.

- Mam tylko nadzieję, że już nigdy nie będę musiał tego robić. Nie chcę przeszkadzać, poczekam na korytarzu - powiedział i opuścił salę.

Czekał tuż obok drzwi i kiedy lekarz wyszedł, natychmiast znalazł się przy nim.

- Panie doktorze, mam do pana kilka pytań. Czy Katherine może lecieć w tym tygodniu samolotem do Kalifornii? Z dzieckiem?

- Ja bym tego nie zalecał - odparł lekarz, przyglądając mu się uważnie. - Straciła sporo krwi i jest jeszcze słaba. Jednak gdyby taka podróż była konieczna, to szczególnych przeciwwskazań natury medycznej nie ma.

- A więc może lecieć samolotem?

- Tak, może. Tylko, moim zdaniem, nie powinna, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

- Dobrze. A jeśli zabiorę je obie do siebie, kiedy pan mógłby wypisać Katherine?

- Będzie miała opiekę?

- Tak. Moją i mojej matki.

- W takim razie mogę wypisać ją już dziś.

- Bardzo proszę.

Colin wiedział, że nigdy w życiu nie wsadziłby jej teraz do samolotu. Gdyby jej prześladowcy obserwowali lotnisko, bez niego nie miałyby najmniejszych szans. Zwłaszcza w tym stanie i z dzieckiem. Zabierze je do domu. Zobaczył, że do pokoju Katherine zmierza pielęgniarka, więc poszedł do wiszącego w poczekalni automatu, żeby zadzwonić do matki i powiedzieć, że wracają do domu.

W ciągu następnych dni jego życie zdawało się być postawione na głowie. Matka wprowadziła się do nich, a ojciec przyjeżdżał codziennie. Katherine wyglądała coraz piękniej, nawet w bawełnianej koszuli jego matki, jej swetrze i spodniach. Ojciec codziennie coś przywoził – ostatnio starą kołyskę Colina, a także jego wysokie krzesło, chociaż Emily byłaby w stanie usiąść na nim nie wcześniej niż za pół roku. Matka spała w sypialni na łóżku polowym, Katherine w jego łóżku, a on sam w pokoju na sofie.

Zaraz pierwszego dnia uprzedził matkę, żeby nie odpowiadała na telefony. Wieczorem, kiedy już poszła spać, spytał o to Katherine, kołysząc śpiące dziecko.

- Tak, dzisiaj telefon dzwonił, ale nikt nie zostawił wiadomości. Po sygnale była długa cisza. Tak było kilka razy.

- Sprawdzają, bo nie są pewni, czy wciąż tu jesteście. Jeśli ani ty, ani mama nie podniesiecie słuchawki, nie ma sposobu, żeby się czegokolwiek dowiedzieli. Nie ma tu miejsca, gdzie mogliby się ukryć i obserwować dom przez lornetkę.

- Dopiero, kiedy będę wyjeżdżała.

- Może do tej pory albo dadzą za wygraną, albo będą starali się szukać was gdzie indziej.

- Jak myślisz, czy dowiedzą się, że byłam w szpitalu?

- Podejrzewam, że tak.

- W takim razie domyśla się, że wróciłam tu z tobą.

- Dlatego właśnie musimy być ostrożni. Kiedy nadejdzie pora wyjazdu, pomogę ci się wymknąć. Zarezerwujemy bilety do różnych miejscowości na ten sam dzień, żeby ich zmylić.

- Dobrze. A teraz położę Emili do łóżeczka - powiedziała Katherine, wstając. - Wiesz, twoja mama prosiła mnie, żebym przysłała jej potem fotografię Emili.

- Ona tęskni za wnukami. Pewnie domyśla się, że jednak nie zostanie babcią, boja się już nigdy nie ożenię.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - wypaliła bez namysłu.

- Jeszcze zmienisz zdanie. Jesteś wspaniałym mężczyzną i...

- Ale ja nie chcę - przerwał jej szorstko. - Nie mógłbym drugi raz znieść tego wszystkiego, przez co przeszedłem - dodał, poprawiając coś na kominku.

- Przykro mi - powiedziała Katherine, współczując mu głęboko. Był taki odważny i silny, a jednocześnie tak wrażliwy i łatwy do zranienia.

- Tak - powiedział Colin, jakby czytając w jej myślach.

- W pewnym sensie wszyscy jesteśmy dziećmi. Ty, ja, nawet moja matka. Jakże łatwo nas zranić.

- Colin, tak nie musi być. Czas leczy rany.

Wstał nagle i popatrzył na nią, zmarszczywszy brwi.

- Muszę nakarmić psy.

Katherine patrzyła, jak wychodzi, po drodze zdejmując z wieszaka kurtkę. Domyśliła się, że nie wróci prędko. Siedziała, przytulając do siebie Emily i myśląc o Colinie, pragnąc przytulić go do siebie i ukoić jego ból.

Dni przechodziły w tygodnie, zima niepostrzeżenie stała się przedwiośniem, ale telefon codziennie dzwonił i nikt nie odzywał się na linii. Colin widział, że Katherine zaczyna się niecierpliwie - odzyskała siły i chciała już wydostać się na wolność. Jemu też ciążyła ta sytuacja - nieustanne wpadanie na siebie, niemal ocieranie się w zbyt małym teraz domu, wciąż wodziło go na pokuszenie. Widok jej wychodzącej z łazienki, owiniętej tylko w ręcznik czy karmiącej piersią dziecko, sprawiał, że niemal odchodził od zmysłów.

Którejś nocy, mniej więcej sześć tygodni po ich powrocie, Emily marudziła w nocy, po karmieniu. Katherine weszła do pokoju, gdzie spał Colin.

- Co się stało? - spytał, patrząc na nią w ciemności.

- Nie wiem, może to kolka. Nie chcę budzić twojej mamy.

- Ona pewnie wolałaby, żebyś ją obudziła - powiedział, wkładając spodnie. - I może wiedziałyby, co dziecku jest.

- Spróbuję trochę ją ponosić.

- Ja ją ponoszę - odparł, wstając.

Zobaczył, że Katherine przygląda mu się. Miał na sobie tylko nie dopięte dzinsy i nic więcej. Jej spojrzenie wędrowało po jego ciele, a jego serce zabiło gwałtownie. On też patrzył na nią, na jej rozpuszczone włosy i szlafrok, ukazującą nocną koszulę.

- Nie nosisz tej czerwonej koszuli, którą ci kupiłem?
- Jest taka piękna. Bałam się, że Emily może mi ją za-
brudzić. Twoja mama przyniosła mi swoją. Jest praktyczniej-
sza - odparła. - Ale tamtą uwielbiam.

Podszedł bliżej, a ona podała mu dziecko.

- Wracaj do łóżka - powiedział szorstkim głosem. - Ja
się nią zajmę.

Zaczął chodzić po pokoju z Emily opartą o bark i pokle-
pywał ją delikatnie po plecach. Niedługo płacz ucichł i mała
przytuliła się do niego. Spacerował tam i z powrotem, prze-
mawiając do niej uspokajająco. Po chwili zobaczył, że Kat-
herine wróciła do sypialni. Emily spała, więc spróbował ją
położyć, ale znów zaczęła się kręcić i popłakiwać. Usiadł
w fotelu na biegunach, z dzieckiem na ramieniu i kołysał się
powoli, aż najpierw zasnęła mała, a potem on sam.

Obudził się o brzasku i zaniósł Emily do łóżeczka. Jego
matka spała, zaś Katherine obudziła się i usiadła na łóżku.
Zobaczył zarys jej piersi pod koszulą i pomyślał, że tego
dłużej nie wytrzyma. Odwrócił się i szybko wyszedł z sy-
pialni.

Następnego dnia wieczorem-siedzieli wszyscy przy ko-
minku. Wiosna już się zaczęła na dobre, ale wieczory i ranki
były jeszcze chłodne. Ojciec Colina też był z nimi i zabawiał
Emily.

- Myślę, że dziś pojedę z tobą do domu - odezwała się
matka.

- Najwyższy czas, żeby zadbać trochę o męża - odparł
Will Whitefeather, podając małą Colinowi.

Wszyscy roześmieli się, a Nadine pośpieszyła zanieść ta-
lerze do zlewu.

- Jutro wrócę, więc zostawiam swoje rzeczy - powiedziała.

Kiedy zegnali się przy wyjściu, Nadine jeszcze raz przytuliła Emily.

- Ona jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałam - powiedziała matka Colina.

- Zgadza się - odparła Kathenne ze śmiechem i uściskała ją.

- Mamo, przecież jutro wrócisz - powiedział Colin, widząc łzy w oczach matki.

- Wiem - odparła, a on domyślił się, że to nie jutrzejszy dzień ją martwi.

Po odjeździe rodziców Colin włączył alarm, ale Katherine czuła, że nie dlatego jest zdenerwowany. Sama też czuła się nieswojo, gdyż tak dawno nie była z nim sam na sam.

- Położę Emily do łóżka - oznajmiła.

Oboje byli świadomi swojej bliskości i tego, że zostali sami. Katherine zdała sobie sprawę, że wcale siego nie boi. On zaś pragnął jej tak bardzo, aż do bólu. Usiedli w pokoju przy kominku i próbowali rozmawiać na neutralne tematy, dopóki nie usłyszeli płaczu dziecka.

- Pora karmienia - zauważyła Katherine.

- Przyniesź ją tutaj - zaproponował Colin. - Możesz usiąść w fotelu na biegunach.

Sam siedział na podłodze, plecami zwrócony do fotela. Światła nie były zapalone i tylko odbłask ognia z kominka rozjaśniał ciemność. Nie wiedział, czy Katherine posłuchała jego rady, dopiero delikatne skrzypnięcie fotela powiedziało mu, że wróciła.

- Czy twoja mama przyjedzie jutro rano?

- Pewnie tak. Chce spędzać z Emily niemal każdą sekundę. Chociaż z drugiej strony wiem, że ojciec byłby zadowolony, gdyby trochę dłużej została w domu. Nie przywykł do życia bez niej.

- Są dobrym małżeństwem, prawda?

- O, tak.

Nie do końca wiedział, o czym mówi, gdyż jego myśli błądziły wokół Katherine. Słyszał, jak kołysze się rytmicznie w fotelu i po chwili domyślił się, że mała zasnęła.

- Śpi? - spytał, oglądając się przez ramię.

- Tak.

Wstał, wziął od niej Emily i zaniósł dziecko do kołyski. Potem wrócił do pokoju. Katherine siedziała i kołysała się, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Podszedł do niej, wziął ją za ręce i pociągnął, żeby wstała. Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Dobrze, że tu jesteś - powiedział nieswoim głosem.

Poczuła, że serce bije jej pośpiesznie. W ciemnym pokoju nie widziała dobrze jego twarzy.

- Już się mnie nie boisz, prawda?

- Nie. Ale nie wiem, w którym momencie strach wróci - odparła niepewnie. - Nawet jeśli to jest irracjonalne.

- No to spróbujmy.

Powoli objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Wargi jej drżały i bała się, że serce wyrwie się jej z piersi. Zamknęła oczy i uniosła głowę. Usta Colina dotknęły jej warg. Ogarnął ją płomień, aż jęknęła cicho i przyłgnęła do niego. Colin obejmował ją jedną ręką, a drugą zatopił w jej włosach.

Chciała tego, pragnęła jego pocałunków, nawet gdy stały się bardziej natarczywe. Nie czuła strachu, nie nachodziły jej

przykre wspomnienia. To dzięki niemu stał się w jej życiu kolejny cud.

Colin czuł, jak Katherine wychodzi mu naprzeciw, i serce waliło mu w piersi jak młotem. Pragnął jej tak bardzo, że wstrząsały nim dreszcze. Wiedział, że to niemożliwe, że ona musi wkrótce odejść, że ich drogi się rozejdą, ale na razie pragnął jej tak bardzo, iż nie zważał na to, czy sprawi mu to później jeszcze większy ból.

A wiedział, że tak się stanie, kiedy wsadzi je obie do samolotu. Z wysiłkiem odwrócił myśli od tego, co ich czeka, skupiając się na dniu dzisiejszym i na tej chwili, kiedy miał ją w ramionach, a ona odwzajemniała jego pocałunki. Wciąż trzymając Katherine jedną ręką, drugą wsunął pod jej sweter. Dotarł do piersi przykrytej stanikiem i niecierpliwie poszukał zapięcia.

Katherine otoczyła jego szyję rękami. Wiedziała, że on jej pożąda, i zdawała sobie sprawę, iż niedługo będzie musiała go powstrzymać, ale choć przez chwilę chciała czuć go przy sobie. Kiedy objął dłonią jej pierś i zaczął delikatnie ją pieścić, jęknęła z rozkoszy i poczuła ogień przeszywający ciało. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek poczuje pożądanie ani że będzie to uczucie tak wielkie i biorące w posiadanie całe jej ciało.

Colin podciągnął jej sweter i zdjął go przez głowę.

- Colin - szepnęła w końcu, rozdarta między dwa pragnienia.

- Jeszcze chwilę - wyszeptał. - Wiem, że musisz odejść, ale jeszcze trochę poczekaj. - Jego dłonie błądziły po jej ciele, pieściły, głaskały. Katherine zamknęła oczy i przytrzymała się Colina mocniej, kiedy odsunął ją troszeczkę, żeby móc na nią spojrzeć.

- Boże, jaka ty jesteś piękna.

Pochylił się i dotknął jej piersi wargami, a ona wpiła ręce w jego włosy. Słowa, które przed chwilą usłyszała, wciąż brzmiały jej w głowie. Nigdy nie czuła się tak jak teraz - piękna, delikatna i pożądana. Pragnęła odrzucić wahania i obawy, wziąć to, co może wziąć w tej jednej, jedynej chwili, żeby wspomnienie o niej mogło starczyć na późniejsze długie, samotne lata.

- Colin... - szepnęła.

Chciała powiedzieć mu to wszystko, żeby zrozumiał, jak ważny jest dla niej, w jej życiu, ale nie potrafiła znaleźć słów. Nagle poczuła, że jego wargi zaciskają się na czubku piersi, a potem zęby nadgryzają go delikatnie i wybuch ognia ogarnął całe jej ciało. Coś ciągnęło ją, żeby opaść na podłogę, przyciągnąć go do siebie i żeby wziął ją tu i teraz. Jednak było na to za wcześnie.

— Colin, wystarczy...

Posłuchał jej natychmiast i tylko jeszcze raz pochylił się nad nią i pocałował tak, jakby miał to być ostatni raz w jego życiu. A potem nagle ją puścił.

- Wychodzę na dwór - powiedział.

— Colin... - zawołała, nie wiedząc, co się stało. - Ja nie chciałam... Po prostu przestraszyłam się, że sytuacja wymknie się nam spod kontroli.

- W porządku - powiedział szorstko i wyszedł.

Ubiierała się, przez cały czas myśląc o tym, dlaczego wyszedł na zewnątrz. Był na nią zły, czy tylko chciał zapanować nad sobą? Zadrżała, wciąż mając nadzieję, że się nie pogniewał.

Zaraz po powrocie ze szpitala Colin przyrzekł jej, że za-

wiezie ją ponownie na badanie kontrolne, które zostało wyznaczone po upływie sześciu tygodni. A potem miał ulokować ją i dziecko w samolocie. Termin przypadał za trzy dni. Trzy dni i będzie musiała pożegnać się z nim na zawsze.

Nie mogła spać, przewracała się tylko z boku na bok. Spojrzała na śpiącą spokojnie Emily, a potem na księżyc widniejący za oknem. Podeszła, żeby wyrzeć na zewnątrz i zobaczyła jakiś cień, który poruszył się w ciemności. Serce podeszło jej do gardła, ale po chwili rozpoznała wysoką postać Colina. Przy nim biegały psy, a on po prostu stał, wpatrując się w nocne niebo.

Miała ochotę włożyć płaszcz i wybiec tam, do niego. Namówić go, żeby wrócił do ciepłego domu, do ciepła jej ramion. Pragnęła jego pocałunków, jego pieśczoł.

- Colin, wróć - szepnęła cicho.

Widziała, że nie poruszył się, stał wpatrując się teraz w ziemię, jakby całkiem zatopiony w myślach. Obserwowała go i dopiero po dłuższym czasie odwrócił się i poszedł do stodoły. Będzie tam nocował? Tak bardzo nie chce przebywać z nią pod jednym dachem?

Wróciła do łóżka. Noc była już krótka, a ona powinna korzystać ze snu Emily i też się wyspać. Zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom jego pocałunków.

Kiedy rano weszła do kuchni, Colin akurat stanął w progu. Miał zabrudzony policzek, ale wyglądał świeżo i tak pociągająco, że miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić.

- Dzień dobry. A gdzie nasza mała panienka?

Serce w jej piersi mocniej zabiło, ale zdała sobie sprawę,

że Colin celowo zadał takie pytanie, żeby rozmowa toczyła się na neutralnym gruncie.

- Akurat znów zasnęła.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że ją zobaczę. - Powiesił kurtkę i czapkę na wieszaku, a potem podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. - Prawie tak, jak chciałem zobaczyć jej mamę.

- Myślałam, że jesteś pochłonięty pracą - powiedziała.

- Teraz jestem pochłonięty kuchnią, bo jest tu taka piękna rudowłosa. - Ucałował jej szyję.

Wywinęła mu się, bo jeszcze chwila, a mogłoby do czegoś dojść. Podeszła do lodówki i wyjęła sok pomarańczowy.

- Chcesz? - spytała, nalewając napój do szklanki.

- Jasne, że chcę - odparł takim tonem, że od razu wiedziała, co miał na myśli.

- Colin...

Podszedł do niej z takim wyrazem twarzy, że nie potrzebowało słów na wyrażenie tego, co czuł. Serce jej waliło, a usta były nieznośnie suche. Stała bez słowa, kiedy brał ją w objęcia.

- Nigdy nie chciałem cię przestraszyć - powiedział poważnym głosem.

- Nie wystraszyłeś mnie. Dokonałeś cudu. Nie spodziewałam się, że zacznę reagować jak normalna kobieta. Ufam ci całkowicie - dodała, a w jego wzroku coś zamigotało tak, jakby sprawiła mu ból.

Przyciągnął ją mocniej do siebie. Przyglądała mu się, patrzyła prosto w oczy, w których nie było żadnych obietnic czy przyrzeczeń, a tylko czysta, głęboka namiętność. Objęła go za głowę i pociągnęła w dół, a sama, stojąc na palcach,

pocałowała go z pasją i oddaniem. Obejmujące ją ramiona natychmiast stwardniały, a Colin pocałował ją gwałtownie, przyciskając mocno do siebie. Ona zaś zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do jego ciała. Oddawała pocałunki, ale chciała też coś mu powiedzieć, a najlepiej wykrzyzczyć to, co leżało jej na sercu. Wiedziała jednak, że nie ma do tego prawa, bo niedługo go opuści.

Powiedziałaby mu, żeby nie bał się otworzyć, żeby znów uwierzył w miłość. Niestety, ona sama nie miała wyboru, bo gdyby związała się z nim, oznaczałoby to same kłopoty i narażenie Colina na zemstę Sloana.

Czuła też inny ból, głęboko w środku - ból, jakiego jeszcze nie знаła. To było pożądanie tak wielkie, że chciała mu ulec, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. No to chociaż niech będzie tych kilka pocałunków. Cóż złego one mogą przynieść? Obejmowała Colina mocno i całowała oraz pozwalala się zachłannie całować.

Colinowi kręciło się już w głowie, ale przez cały czas pamiętał o jednym. „Ufam ci całkowicie”. Tak właśnie powiedziała, a jemu nie wolno zawieść tego zaufania. Nie może niczego jej zaproponować, nie może dać jej miłości, do jakiej jest stworzona.

Ręce wślizgnęły się pod sweter, zdejmowały bieliznę, zachowywały się tak, jakby należały do kogoś innego. Zdjął sweter i zaczął całować piersi, pieścić wargami ich stwardniające czubki. Potem znów całował zachłannie jej usta, a ręka zaczęła rozpinać spodnie. Poczul na przegubie uścisk jej dłoni.

- Colin, nie...

Chciała, żeby przestał, więc musiał być posłuszny. Spój-

rzał na Katherine i zobaczył, że w jej zielonych oczach też tańczy płomień. Wciągnął głęboko powietrze i odwrócił się, żeby od niej odejść. Ruszył po kurtkę i czapkę.

- Myślałem, że przyjdę zjeść z tobą śniadanie, ale okazuje się, że to nie jest dobry pomysł.

- Usiądź. Musisz coś zjeść.

- Może później, kiedy będę w stanie utrzymać ręce przy sobie - odparł szorstko i wyszedł.

Katherine podeszła do drzwi i patrzyła w ślad za nim. Tak bardzo pragnęła go kochać i być kochaną. Tęskniła za dotykiem jego ciała i jego ust na swoich wargach. Westchnęła i wróciła do kuchni. Jeszcze dwa dni i razem z Emily znikną na zawsze z jego życia.

Jednak dość szybko musiała zmienić plany. Jeszcze przed południem zadzwonił telefon, a ona czekała na zapowiedź automatycznej sekretarki i na to, czy znowu nikt się nie odezwie. Stała z wyjętymi właśnie z pralki ubrankami Emily w rękach, kiedy rozległ się głos, który przeraził ją tak, że drgnęła gwałtownie i upuściła trzymane rzeczy.

- Katherine?

Nie można było nie rozpoznać głosu Sloana.

- Wiem, że tam jesteś. Podnieś słuchawkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nastała chwila ciszy, podczas której Katherine wpatrywała się w telefon. Chociaż w pokoju było ciepło, jej wydawało się, że przenika ją lodowate zimno.

- No dobrze - mówił dalej Sloan. - Nie chcesz podnieść słuchawki, więc w takim razie stój i słuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Drgnęła i obejrzała się za siebie, jakby spodziewała się zobaczyć go przez okno, stojącego na podwórzu. Ogarnęła ją przerażenie. W irracjonalnej obawie, że on może ją zobaczyć, odeszła od telefonu w drugi kąt pokoju.

- Zabieram cię do domu. Nie sprzeciwiaj mi się, kiedy po ciebie przyjadę. Po co masz narobić kłopotu obcym ludziom, których nie dotyczą nasze sprawy. Przestań ukrywać się za ich plecami, bo może stać im się coś złego. Jeśli chodzi o dziecko, to mieliśmy z ojcem nadzieję, że urodzisz syna, ale nie po raz pierwszy mnie rozczarowałaś. Zobaczymy się wkrótce i pamiętaj, że przez twoje głupie posunięcia mogą ucierpieć niewinni ludzie.

Potem rozległo się kliknięcie i w pokoju zapanowała cisza.

Czy on był gdzieś w pobliżu? Naprawdę wiedział, że ona tu stoi i słucha jego słów? Wiedział o Emily, pomyślała z drżeniem. No i ostrzegł ją, że coś się stanie Colinowi, jeśli spotka go na swojej drodze.

Wiedziała, że kto jak kto, ale Colin nie usunie się Sloanowi z drogi. Musi uciekać teraz, zanim on wróci. Musi wziąć Emily i zniknąć z życia Colina, zanim coś mu się stanie. No i przecież są jeszcze jego rodzice - oni też mogą zostać w to zamieszani.

Popędziła do sypialni i wyciągnęła swoją zniszczoną torbę. Rozejrzała się dokoła, ale nie znalazła niczego, w co mogłaby zapakować swoje ubrania. Co zrobi z rzeczami Emily? Przecież w tej torbie nie zmieszczą się nawet pieluchy. Pobiegła do garażu i wdrapała się na strych. Na szczęście tu od razu natknęła się na walizki. Wzięła jedną, zniosła na dół i zaczęła się pakować. Pomyślała, że jeśli się pośpieszy, to być może uda jej się wyprzedzić działania Sloana.

Emily wciąż spała, więc postanowiła nie budzić jej aż do ostatniej chwili. Szybko zebrała jej rzeczy, a potem poszła do kuchni, żeby zostawić wiadomość dla Colina.

„Dziękuję Ci za wszystko. Nigdy Cię nie zapomnę. Podziękuj swojej mamie i tacie, że byli tacy cudowni. Chciałabym, żeby Emily miała okazję poznać was wszystkich, kiedy dorośnie. Jadę twoim dżipem na lotnisko i zostawię go tam na parkingu. Odeślę ci walizkę, kurtkę i czapkę, a także ubranka, które kiedyś należały do Ciebie”.

Przeczytała kartkę. To tak bolało, zwłaszcza kiedy stała w miejscu, w którym przed godziną on ją całował. Pragnęła zabrać ze sobą jak najwięcej wspomnień, przechować je w pamięci na czas, kiedy będzie daleko stąd.

Patrzyła na kartkę, przez cały czas mając wrażenie, że to za mało. W oczach miała łzy, które przesłaniały jej widok, i wiedziała, że powinna wstać i wyjść, ale nie mogła znaleźć na to sił. W końcu wstała, położyła kartkę na środku stołu

i poszła po Emily. Włożyła małą do nosidełka, a sama ubrała się w starą kurtkę Colina. Walizkę już wcześniej zapakowała do dzipa. Nie chciała zabierać mu samochodu, ale inaczej nie mogłaby się stąd wydostać.

Jeszcze raz weszła do kuchni, żeby spojrzeć na to wszystko. Teraz łzy już spływały jej po policzkach. Będzie jej brakowało Colina bardziej, niż mogła to sobie kiedyś wyobrazić. Popatrzyła na leżącą na stole kartkę i nagle odstawiła nosidełko z Emily i zdecydowanym krokiem podeszła do stołu.

- Muszę coś jeszcze do niego napisać - powiedziała do małej.

Wyjęła długopis i zobaczyła, że łąza spadła na papier, więc wytarła ją ręką. Jeszcze raz przeczytała swój list i podpisała go. „Zawsze będę Cię kochać. Katherine”.

Przycisnęła na chwilę papier do serca.

- Kocham cię, Colin - powiedziała głośno. - Nie sądziłam, że jeszcze kogoś w życiu pokocham, no i wcale dobrze się nie stało, bo ty nigdy mnie nie pokochasz. Zresztą nawet gdybyś mnie pokochał, nie mogłabym tu zostać. Nie dopuszczę, żeby Sloan mścił się na tobie. Kocham cię.

Otarła oczy, a potem pochyliła się nad stołem, żeby dopisać coś jeszcze:

„Dziękuję, że nauczyłeś mnie na nowo kochać”.

Położyła kartkę na stole, wyłączyła alarm i wzięła Emily.

- Lepiej już uciekajmy, bo jak Colin nas zobaczy, to ta ucieczka nie uda się nam na pewno.

Pospieszyła do samochodu, gdzie umocowała nosidełko z dzieckiem i sprawdziła, czy jest dobrze przypięte pasami. Potem usiadła za kierownicą i wycofała samochód, rozgła-

dając się bacznie po okolicy, szukając śladu Sloana, Colina czy jego ludzi. Potem wysiadła z samochodu, zamknęła garaż i ruszyła w drogę. Włosy miała upięte do góry i schowane pod starą czapkę Colina. Miała nadzieję, że jeśli zobaczy ją któryś z prześladowców, pomyśli, że to jeden z pracowników Colina udaje się po coś do miasta.

Specjalnie jechała z przeciętną prędkością, chociaż coś pchało ją do przodu, nakazywało przyspieszyć. Co chwila rozglądała się i zerknęła we wsteczne lusterko, oczekując w zdenerwowaniu, że zaraz ukaże się Colin, pędzący jak burza swym niebieskim pikapem.

Dojeżdżała właśnie do wjazdu na autostradę i aż dostała gęsiej skórki ze zdenerwowania. Ale przez pierwszych dwadzieścia minut nie jechał za nią żaden samochód, a potem ukazał się jakiś, który ją wyprzedził nie zwalniając, a siedzący w środku dwaj mężczyźni raczej nie mieli nic wspólnego ze Sloanem.

Potem musiała przejechać przez Stillwater, ale na początku nie widziała żadnego podejrzanego czarnego samochodu, później zaś ruch był tak duży, że nikt nie potrafiłby stwierdzić, który z samochodów jest podejrzany, a który nie. Co prawda, przez pewien czas jechał za nią jakiś samochód, na dodatek czarny, ale zaczęła kluczyć po mieście tak skutecznie, że zgubiła i jego, i siebie w płątaninie ulic i musiała zatrzymać się na parkingu przy restauracji, żeby przestudować mapę.

Pojechała stamtąd prosto na lotnisko, a Emily na szczęście przez cały czas spała. Kiedy szła po bilet, rozglądała się trwożnie na wszystkie strony, ale nie widziała nikogo podejrzanego. Udała się do toalety w pobliżu wyjścia do samolotu

i tam przewinęła oraz nakarmiła małą. Przez cały czas dręczyła ją myśl, że odjeżdża od Colina, i gdzieś w głębi serca spodziewała się, że on zaraz się zjawi w poszukiwaniu jej, chociaż rozsądek podpowiadał, że tak się nie stanie.

W końcu znalazła się na pokładzie samolotu, gdzie przyglądała się wszystkim wchodzącym, ale nie była w stanie powiedzieć, czy ktoś z nich ją śledził.

Kiedy samolot kołował na pas startowy, zerknęła na zegarek. Było dziesięć po czwartej. Ciekawe, czy Colin wrócił już do domu. Pogłaskała policzek Emily i rozmyślała o liście, jaki mu zostawiła. Kochała Colina - beznadziejną, niemożliwą do zaakceptowania miłością. Nigdy pewnie już się nie zobaczą, chociaż wiedziała, że nie wytrzyma i napisze do niego. Czy przyjechałby, żeby odwiedzić ją w Kalifornii? Wątpiła w to, zważywszy, że on bał się zaryzykować i pozwolić sobie kogoś pokochać. To, że ona sama pokochała jego, wciąż wprawiało ją w zdumienie.

Patrzyła w dół, na pola Oklahomy, zieleniące się już gdzieś tam oziminami. Jednak widok ten przesłonił jej obraz Colina, stojącego pośrodku kuchni i w uśmiechu odsłaniającego białe zęby. Nigdy nie dowie się, jak mocno go pokochała.

Colin skończył pracę o wpół do trzeciej. Był głodny jak wilk, gdyż w końcu nie wrócił do domu na śniadanie. Ale jeszcze bardziej pilno mu było ujrzeć znów Katherine.

Kiedy otwierał drzwi do kuchni, nie powitał go żaden kuszący zapach ani wesołe słowa. Ciszy nie maćił także płacz dziecka i od razu zorientował się, że coś nie jest w porządku.

- Katherine!

Nie było odpowiedzi, więc jego dłoń od razu chwyciła za rewolwer. Wpadł do środka i od razu zobaczył złożoną kartkę papieru na stole. Serce waliło mu jak młotem i nawet nie musiał czytać, bo wiedział już, że Katherine odeszła.

Podszedł i przeczytał list. „Zawsze będę cię kochać”. Przez chwilę zabrakło mu tchu. Nie widział żadnych innych słów, tylko tych kilka. Ona nie należała do osób, które robią tego rodzaju wyznania ot, tak sobie. „Zawsze będę cię kochać”. Chwyciło go to za serce i ścisnęło boleśnie.

Odłożyła kartkę i usiadł. Odeszła. Musi pojechać do miasta po dzipa. Chciała rozpocząć życie na nowo i teraz była w drodze do Kalifornii. Jeszcze raz zerknął na list. Nie, nikt nie włamał się tutaj i nie zmusił jej do napisania tego - z własnej woli odeszła bez pożegnania.

Tęsknił za nią i za Emiliy ogromnie. Dom wydawał się pusty, jak wymarły. Psy też siedziały cicho, patrząc na niego.

- No co, chłopcy? - powiedział do nich. - Pani i panienka odeszły. Przecież wiedzieliśmy, że tak się stanie.

Oparł się o stół i przymknął oczy. Nie myślał, że będzie aż tak cierpiał. Lobo trącił go pyskiem i Colin otworzył oczy.

- Tak, tak, chcecie jeść. Do diabła z panią, wam tylko zależy na pełnej misce. Ciekawe, kto was pogłaszcze wieczorem i podrapie za uszami? Nie pamiętam już, kiedy ten dom był tak cholernie pusty. Dlaczego właściwie nie możecie nauczyć się mówić?

Na kuchennym stole leżał śliniaczek Emiliy. Colin wziął go do ręki i przesunął palcem po czerwonej lamówce. Ścisnąc go mocno w dłoni, przyłożył sobie do serca, jakby w ten sposób chciał być bliżej małej. A potem odrzucił śliniaczek na bok i poszedł nakarmić psy.

- Jedzcie, głodne szakale. Zobaczycie, też będziecie za nią tęsknić.

Zamknął tylne drzwi i przeszedł się po domu, przeklinając cicho. Wyjął piwo z lodówki i poszukał czegoś do jedzenia. Potem znowu wziął do ręki jej list. „Zawsze będę cię kochała”.

Westchnął. Nawet gdyby powiedziała mu to prosto w oczy, i tak chciała jechać do Kalifornii, a on musiał się na to zgodzić. Nie mógł przecież zaoferować jej niczego. Już nigdy przecież się nie ożeni.

Patrzył przez okno w dal. Właściwie dlaczego jest tego taki pewien? Przecież Katherine w jakiś cudowny sposób już wrosła w jego życie. Kto powiedział, że nie można skorzystać z jeszcze jednej szansy na miłość?

- Pozwól jej odejść - powiedział do siebie głośno. - Ona wie, czego chce, i właśnie ruszyła, żeby to osiągnąć. Niech sobie idzie.

Właściwie nie miał wyboru, bo już odeszła. Nie chciało mu się jeść. Podeszedł do telefonu i włączył automatyczną sekretarkę. Kiedy rozległ się jakiś męski głos, w pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi, tak pochłonięty był myślami o Katherine. Dopiero po chwili dotarły do niego wypowiedziane słowa.

- Cholera! - Cofnął taśmę, żeby posłuchać jeszcze raz od początku.

„Zabieram cię do domu. Nie sprzeciwiaj mi się, kiedy po ciebie przyjadę. Po co masz narobić kłopotu obcym ludziom, których nie dotyczą nasze sprawy. Przestań ukrywać się za ich plecami, bo może stać im się coś złego”.

Colin zaklął głośno. Ona wyjechała pod wpływem telefo-

nu Sloana. Był pewien, że chciała w ten sposób go chronić. Zaklął jeszcze raz i słuchał dalej.

„Jeśli chodzi o dziecko, to mieliśmy z ojcem nadzieję, że urodzisz syna, ale nie po raz pierwszy mnie rozczarowałaś. Zobaczymy się wkrótce i pamiętaj, że przez twoje głupie pomysły mogą ucierpieć niewinni ludzie”.

Nagranie skończyło się i Colin ruszył do swojego pokoju. Mylił się co do powodów jej odejścia. Nie zrobiła tego, bo chciała zacząć nowe życie albo też wolała nie żegnać się z nim. Prawdziwą przyczyną był telefon od Sloana.

Oblał go pot. Przecież ona mogła wpakować się prosto w pułapkę. Sloan zatelefonował po to, żeby ją stąd wywabić. Gdyby tylko poczekała, aż on wróci, ale zdawał się sprawę, dlaczego tak zrobiła.

Chciał dostać Sloana Manchestera w swoje ręce. O, jak bardzo uradowałoby go spotkanie z nim. Szybko zgarnął pieniądze, rewolwer, sprawdził w szafie, którą kurtkę wzięła, żeby ją łatwiej rozpoznać, i już za chwilę pędził pikapem w stronę Stillwater. Dokąd pojechała? Na które lotnisko? Tulsa czy Oklahoma City? Czy uda mu się choćby odnaleźć jej ślad, czy będzie wiedział, jeśli złapią ją ludzie Sloana?

Zadzwoił z telefonu komórkowego do linii lotniczych, próbując domyślić się, jakie połączenie wybrała. W Stillwater zdecydował się pojechać do Oklahoma City.

Miał szczęście - znalazł dżipa na lotnisku za pięć czwarta. Po dziesięciu minutach rozmawiał już z kimś z obsługi, kto pamiętał wysoką kobietę w kurtce i kowbojskim kapeluszu, z dzieckiem w nosidełku. Jeszcze pięć minut i dowiedział się, że kupiła bilet do San Francisco, z międzylądowaniem w Dallas.

- Przykro mi, ale samolot wystartował kilka minut temu.
- A kiedy jest następny lot?
- Zaraz sprawdzę. A wie pan, już ktoś dziś pytał o tę samą panią. Mówił, że to jego siostra.

Czuł, że serce podchodzi mu do gardła. W takim razie Sloan wiedział, dokąd się udaje, i teraz w San Francisco również nie będzie bezpieczna.

- Przykro mi, ale następny samolot odlatuje za dwie godziny.

- Dzięki.

Popędził do telefonu, żeby sprawdzić inne linie lotnicze. Za trzecim razem dopisało mu szczęście i dopadł wyjścia do samolotu w chwili, kiedy już miano je zamykać. Samolot, na który się dostał, miał wylądować w Dallas dwadzieścia minut po lądowaniu jej samolotu, a trzydzieści pięć przed odlotem do Kalifornii.

Siedząc w samolocie, zaczął zastanawiać się nad dalszymi krokami. Czy ktoś ją śledził? Sloan czy też jego ludzie wiedzieli, że leci do Dallas i pewnie będą chcieli schwytać ją tam i wywieźć do Luizjany. Poruszył się niespokojnie, jakby chciał przyspieszyć lot samolotu. W końcu wstał, poszukał stewarda i pokazał mu swoją odznakę policyjną.

- Czy mógłbym porozmawiać chwilę z kapitanem? Chodzi o to, że... - Bez wdawania się w szczegóły naświetlił sprawę okrutnego byłego męża i spytał, czy można by trochę przyspieszyć lądowanie.

Kapitan zjawił się po chwili, więc Colin pokazał mu odznakę i jeszcze raz opowiedział o wszystkim.

- Pogoda jest dobra, ale i tak możemy dać panu zaledwie dziesięć minut.

- Będę dozgonnie wdzięczny.

Kiedy samolot wylądował, Colin był pierwszy do wyjścia i jeszcze raz podziękował w przejściu kapitanowi. Potem pojechał na poszukiwanie ochrony lotniska i pierwszemu napotkanemu pracownikowi pokazał swoją odznakę.

- Muszę jak najszybciej dostać się do wyjścia numer 28C.
- Dobrze. Wytłumaczy mi pan wszystko po drodze.

Strażnik wziął wózek akumulatorowy i obaj wsiedli, kierując się w stronę wyjść na płytę lotniska. Colin zerknął na zegarek. Katherine znajdowała się w Dallas już od jakichś piętnastu minut. Lada chwila ludzie zaczną wsiadać do samolotu do Kalifornii i albo ona będzie między nimi, albo też Sloan już ją schwytał i chce wywieźć innym samolotem lub samochodem. Tłum kłębił mu się przed oczami. Wydawało się, że wózek posuwa się strasznie wolno, że już szybciej byłoby pobiec, ale opanował się, gdyż w ten sposób zwróciłby na siebie uwagę. Dotarli wreszcie do szukanego wyjścia i wtedy zobaczył dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn, stojących tuż obok damskiej toalety. W pierwszej chwili nie zwrócił na nich uwagi, ale coś w nich przypomniało mu tamten śnieżny dzień, "kiedy patrzył na facetów śledzących Katherine. Instykt powiedział mu, że to ci sami. A jeśli tak, to Katherine musi być w środku.

Złapał strażnika za ramię.

- Widzi pan tych dwóch? Obserwują damską toaletę. Czy mógłby pan wymyślić jakiś pretekst, żeby odciągnąć ich na bok, a ja zajrzałbym do środka?

Wiedział, że jeśli się myli, to może całkowicie zgubić trop Katherine, ale coś mówiło mu, że ma rację.

- Oni stoją osobno. To nie będzie łatwe.

- Niech pan coś wymyśli. Na przykład, że odpowiadają opisowi poszukiwanych przestępców i muszą pójść z panem na komisariat.

- A jeśli nie będą chcieli?

- Proszę pokazać im legitymację. Zresztą myślę, że będą woleli nie robić zamieszania. Potrzebuję tylko minuty, żeby dostać się do środka - dodał, wciskając strażnikowi do ręki dwadzieścia dolarów.

- Zrobię, co będę mógł, ale niczego nie obiecuję.

- Dzięki.

Colin zeskoczył, z wózka i usunął się na bok, a potem szybko podszedł do automatu z gazetami. Wrzucił monetę i wziął płachtę gazety, żeby się nią zasłonić. Widział, jak strażnik podchodzi do tamtych facetów i coś im tłumaczy, a oni najpierw protestują, po czym odwracają się i idą z nim w kierunku komisariatu.

Szybko wbiegł do toalety i rozejrzał się wokoło.

- Katherine!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jakaś kobieta, myjąca właśnie ręce, na jego widok otworzyła usta ze zdumienia. Rozglądając się nerwowo, Colin zobaczył Katherine, siedzącą pod ścianą.

- Chodź! - wykrzyknął, a ona po sekundzie zaskoczenia pośpiesznie chwyciła swoje rzeczy i ruszyła w jego stronę.

Colin sięgnął po nosidełko z Emily, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jak mnie znalazłeś?

- Chodź, oni cię śledzą. Szybko.

W holu wziął od niej bagaże i rozejrzał się wokoło.

- Jeśli powiem ci, żebyś biegła, to musisz biec. Oni wiedzą, że jesteś tutaj.

Chciał ruszać do wyjścia, ale Katherine złapała go za rękę.

- Tam jest mój samolot.

- Nie możesz lecieć. Oni wiedzą, dokąd się udajesz, i tam nie byłabyś bezpieczna. Chodź - powtórzył, ciągnąc ją w swoją stronę.

Wahała się tylko przez sekundę, a potem od razu zaczęła iść w takim samym tempie jak on.

- Jak mnie znalazłeś?

- Trochę szczęścia i szybkość działania. Natknąłem się na nich, kiedy czekali na ciebie pod drzwiami toalety.

- Zobaczyłam ich i schowałam się do środka.
- Musimy jak najszybciej stąd się wydostać - powiedział Colin. Jego umysł pracował szybko. Gdyby chciał wynająć samochód, załatwienie formalności trwałoby zbyt długo i tamci mogliby ich namierzyć. Skierował się w stronę wyjścia z lotniska.

Katherine usiłowała dotrzymać mu kroku. W głowie kłębiło jej się od przeróżnych myśli. Ale najważniejsze, że Colin był tutaj! Myślała, że już nigdy go nie zobaczy, a teraz on idzie obok niej, niesie Emily i zabiera je do swojego domu. Nigdy nie wydawał jej się wspanialszy niż w chwili, kiedy rozglądał się wokoło, wołając jej imię.

Na dworze było jasno od zapalonych świateł. Samochody zatrzymywały się i ruszały; ludzie wysiadali, inni zaś wkładali walizki i wsiadali do środka. Przejeżdżały takśówki. W powietrzu unosił się zapach oleju napędowego. Colin rozglądał się z wahaniem, a potem wziął Katherine za ramię.

- Widzisz ten czerwony sportowy samochód? - spytał, patrząc na kilkunastolatka za kierownicą. Z głośników buchała wrzaskliwa muzyka, szyby i dach były opuszczone, a on siedział, postukując dłonią o kierownicę.

Colin podszedł od strony kierowcy, a Katherine z drugiej i równocześnie otworzyli drzwi.

- Hej, człowieku!
- Biuro szeryfa z Payne - powiedział Colin, pokazując odznakę. - Posuń się. Musisz użyczyć nam na chwilę samochodu.

- Co jest? Nie znam żadnego Payne...

Colin zamachał mu odznaką przed nosem.

- Posuń się, bo pójde po mundurowych.
 - No dobrze - odparł młodzieniec, przesuając się na boczne siedzenie, gdzie natknął się na Katherine, która obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.
 - Dziękujemy serdecznie. To sprawa życia i śmierci.
 - Nie ma za co, proszę pani - odparł chłopak, odwracając się, żeby móc lepiej się jej przyjrzeć.
 - Powiedz mi, kiedy mała będzie już przypięta - powiedział Colin, podając jej nosidełko z dzieckiem. - Do tego czasu będę jechał powoli.
 - Ej, człowieku, masz jechać powoli przez cały czas. To nowy wózek.
 - On będzie nadzwyczaj ostrożny - zapewniła chłopca Katherine.
 - Mam na imię Ziggy - oznajmił nastolatek.
 - A ja Katherine, a to moja córeczka Emily.
 - Jak długo chcecie trzymać mój samochód? Miałem wziąć parę osób z lotniska i nie będzie mnie, kiedy się pojawią.
 - Zaraz zjawisz się z powrotem. Chcemy tylko dostać się do hotelu.
 - Emily jest zapięta - oznajmiła Katherine.
- Colin dodał gazu i błyskawicznie włączyli siew sznur samochodów na autostradzie. Jechali nie zważając na ograniczenia prędkości i po dziesięciu minutach byli już przed wysokim, nowoczesnym hotelem.
- No to jesteśmy. Dzięki, mały. Pomóż pani wysiąść.
 - Jasne.
- Katherine już wysiadła i właśnie pochylała się, żeby rozpiąć pasy i wziąć dziecko. Ziggy stał z rozdziawionymi usta-

mi i patrzył, jak spodnie pięknie opinają się na jej pośladkach. Colin rozumiał go, bo sam robiłby tak, może tylko nie w tych okolicznościach.

- Masz tu kluczyki - powiedział. - A to za koszty benzyny - dodał, wręczając chłopcu dwadzieścia dolarów. - I pamiętaj, że nigdy nas nie widziałeś.

- Jasne, dzięki - odparł chłopak z przejęciem i odjechał pośpiesznie.

Colin wziął od Katherine nosidełko z małą, a do drugiej ręki walizkę.

- Wynajmiemy tu samochód i pojedziemy dalej - powiedział Colin, wchodząc do hotelu. - Patrz, czy nikt nas nie śledzi.

Po piętnastu minutach, nie niepokojeni, jechali już w stronę Oklahomy. Katherine zdjęła kurtkę i kapelusz. Siedziała w samym tylko czerwonym swetrze, który pięknie podkreślał jej figurę. Colin miał ochotę zjechać gdzieś na bok i wziąć ją w ramiona, żeby ostatecznie upewnić się, że znów są razem.

- Przyjechałeś za mną, bo odsłuchałeś wiadomość od Sloana, prawda? - spytała.

- Tak. Wyobrażam sobie, jak się przestraszyłaś.

- Dopiero w samolocie przypomniałam sobie, że nie wykasowałam tego nagrania. Powinnam była to zrobić. Słuchaj, tam na lotnisku nie miałam czasu pomyśleć, ale to, że jadę z tobą, niczego nie rozwiązuje. Sloan znowu będzie mnie ścigał. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Wcale się nie boję. To on teraz musi być ostrożny, kiedy stara się o oficjalny urząd. Przez cały czas przebywa w świetle jupiterów i jeden niewłaściwy krok może zniszczyć jego polityczną karierę.

Mimo słów Colina, mimo jego obecności, czuła dojmujący chłód. Drżała w przeczuciu nadchodzącej katastrofy.

- Sloan jest bardzo gwałtowny, właściwie niepohamowany. Kiedy przekroczy pewien punkt graniczny, nie odpowiada już za siebie. Pobił wiele osób, nie tylko mnie. Mówiłam ci o tamtym człowieku na studiach, ale było ich wielu. Za każdym razem jego ojciec potrafił zatuszować sprawę, a potem on sam stał się na tyle silny i wpływowy, by nic mu nie zrobiono. Mógłby zabić cię w przypływie wściekłości, a potem zatrzeć ślady. Na przykład upozorować wypadek samochodowy i nikt by się nie dowiedział prawdy.

- To byłoby działanie z premedytacją, a nie utrata panowania nad sobą.

- Ja cię tylko ostrzegam - odparła, wzruszając ramionami. - On jest w stanie zrobić to wszystko. Żeby dostać mnie, on zabije cię, jeśli będziesz stał na jego drodze.

- Dobrze, ostrzegłaś mnie. Powiedz, z iloma byłymi gliniarzami miał dotychczas do czynienia?

- Nic nie wiem o takich przypadkach.

- W takim razie spróbujemy. Powiedz mi tylko, jeśli go zauważysz.

- Colin, ja muszę jechać do Kalifornii.

- Oni wiedzą, że kupiłaś bilet do San Francisco.

Katherine przyknęła oczy i zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie czuła się bezpieczna.

- No to pojedę gdzie indziej i nie powiem dokąd ani tobie, ani nikomu innemu.

- Mówiłaś, że chcesz skończyć korespondencyjne kursy księgowości. W takim razie łatwo wytropią twój nowy adres.

- Poczekam do zakończenia kampanii wyborczej. Boże, nie wiem, co robić. Muszę zdać ten egzamin, bo przecież mam dziecko na utrzymaniu.

Spojrzał na nią ukradkiem, wciąż mając w pamięci tamte słowa. „Zawsze będę cię kochała...” Jakie to byłoby proste, gdyby się z nią ożenił. Zapewniałby im ochronę i środki na utrzymanie. A ona wypełniłaby pustkę w jego życiu. Popatrzył w lusterko, na leżącą z tyłu Emily. Nie spała, bawiła się właśnie frędzlami koca, którym nakryła ją Kathenne.

Zagryzł zęby. To byłoby takie proste. Musiałby tylko porozmawiać z Katherine. Nagle przypomniał sobie Dane i to piekło, przez które później przechodził. Nie, poprzysiągł sobie przecież, że już nigdy się nie ożeni. Po co w takim razie przywozi Katherine do domu? Żeby ją chronić czy może uwieść?

Gdyby tylko udało się zrobić coś takiego, co na zawsze zabezpieczyłoby ją przed Sloanem, gdyby wiedział, że ona żyje gdzieś szczęśliwie... Znów spojrzał na Emily i rozczulił go jej widok. Takie wspaniałe dziecko. Od urodzenia nie było z nią najmniejszych kłopotów.

- Dobrze, znajdę ci miejsce, gdzie będziesz mogła się ukryć. Mam przyjaciela, który mieszka w Arizonie. Pojedziesz tam na jakiś czas, aż wszystko jakoś się ułoży.

- Jesteś dla nas taki dobry - powiedziała, patrząc na jego profil.

Potem Katherine oparła głowę o siedzenie i przymknęła oczy. Wraca do domu. Ma przed sobą jeszcze trochę czasu z Colinem i jeszcze jedną szansę. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby nie oglądała się za siebie, tylko chwyciła

to, co los jej da, nawet jeśli miałyby to być tylko kilka chwil szczęścia.

Potrafiłaby nakłonić Colina, żeby się z nią kochał. Czuła, że zależałoby mu bardziej na jej zadowoleniu niż na własnym. To była jej szansa na teraz. Czy ma z niej skorzystać?

Jechali dalej w milczeniu. Zjedli coś w przydrożnym barze obok Oklahoma City i skierowali się do Stillwater.

- Może powinniśmy zabrać dżipa z lotniska? - spytała Katherine.

- Ktoś może go obserwować - odparł Colin, potrząsając głową. - Wyślę któregoś z moich ludzi. Zawsze ktoś jedzie do miasta w takiej czy innej sprawie.

Kolejne kilometry znów mijały w zupełnej ciszy. I wciąż żadne z nich nie potrafiło dojść do zadowalającej konkluzji.

Weszli do domu i Colin od razu spojrzął na kartkę, pozostawioną na stole. Podniósł ją i schował do kieszeni, kiedy stawiał nosidełko z Emily na stole. Mała zaczęła płakać, więc odpiął pasy i wziął ją na ręce.

- Nie mogę cię nakarmić, maleńka, ale zaraz mamusia to zrobi, a potem ja cię pokołyszę.

- Wezmę ją - powiedziała Katherine, podchodząc bliżej. Colin spojrzął na nią i potrząsnął głową.

- Wiesz, muszę nauczyć cię sztuki maskowania się. Wyglądasz nad wyraz podejrzanie. No i każdy zwróci uwagę na piękną kobietę w kowbojskim kapeluszu i obcisłych dżinsach.

- Myślałam, że jeśli wyjadę stąd twoim samochodem, w twoim kapeluszu i kurtce, to wezmą mnie za któregoś z twoich pracowników.

- Ten, kto pomyliłby ciebie z mężczyzną, byłby skończonym głupcem.

Dalszą rozmowę uniemożliwił im wrzask Emily i Katherine poszła z nią do sypialni. Colin stanął w progu i spojrzął w rozgwieżdżone niebo. Gdzie może być teraz Sloan Manchester? Kiedy dowie się, że ona tu wróciła?

Wszedł do środka, zamknął drzwi i włączył alarm. Jeszcze raz wyjął i przeczytał kartkę od Katherine, po czym schował ją w biurku. Zatelefonował w kilka miejsc, a potem wyjął piwo i rozpalił na kominku.

- Mówiłeś, że chcesz ją pokołysać. Jeszcze nie śpi.

Katherine stała w drzwiach pokoju, trzymając dziecko w ramionach. Wyglądała pięknie w czerwonym swetrze. Włosy miała upięte, a on zapragnął je rozpuścić. Wstał i podszedł, żeby wziąć od niej dziecko. Mała przyglądała mu się poważnie wielkimi oczami, ssąc przy tym piastkę.

- Cieszę się, że znów jesteś ze mną, maleńka. Wiesz, tęskniłem za tobą.

Katherine wyszła, żeby rozpakować walizkę. Słyszała za ścianą głos Colina i miarowy odgłos jego kroków. Przytknęła na chwilę oczy, a grymas bólu wykrzywił jej twarz. Dlaczego tak się stało, że jest związana z kimś takim jak Sloan Manchester?

Zresztą to nieważne. To Colin boi się miłości. Podejrzała, że od czasu śmierci żony otworzył serce jedynie przed Emily.

Wzięła prysznic, zmieniła bieliznę i nałożyła te same dzinsy i sweter, które miała przedtem na sobie. Weszła do pokoju i przystanąła, żeby popatrzeć na Colina. Siedział w bujanym fotelu, zwrócony do niej profilem. Emily chyba

już zasnęła. Pogłaskał ją delikatnie po główce, a potem po policzku, a Katherine poczuła głęboki ból na myśl, że Colin nigdy nie będzie należał do niej.

Podeszła do niego i pochyliła się nad dzieckiem.

- Położę ją do łóżka.

- Nie, ja to zrobię - odparł Colin, wstając. Zaniósł małą do sypialni, włożył do kołyski i opatulił kołderką. Katherine towarzyszyła mu, przyglądając się jego ruchom.

- Spij słodko, maleńka - szepnął i odwrócił się. Objął Katherine ramieniem i razem poszli usiąść przy kominku.

- Sloan domyśli się, że jestem tutaj, prawda? - spytała.

- Prędzej czy później o tym się dowie.

- A czy jego ludzie mogą się dowiedzieć, że nie weszłam na pokład samolotu?

- Tak.

- W takim razie nie powinnam tutaj zostać. Wiem, że się nie boisz, ale nie chcę, żeby ci się coś stało. Twój rodzice znów dostaliby ataku serca.

Colin sięgnął ręką do jej włosów i zaczął wyjmować spinaki, patrząc, jak miękkie sploty opadają jej na ramiona. Pamiętał tamtą pierwszą noc, jak kurczyła się cała, kiedy wyciągał rękę w jej stronę. Pragnął przytulać ją, całować, napać się jej bliskością.

- Tęskniłem za tobą - szepnął, biorąc jej twarz w dłonie. Miała takie delikatne kości, tak gładką skórę. Spojrzenie jej zielonych oczu sprawiło, że jego serce zgubiło rytm. Pochylił się nad nią, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Pragnęła jego miłości, nawet gdyby miało to być tylko jeden raz. Wiedziała, że on nie może jej nic obiecać, ale da jej wspomnienia, a to

więcej, niż miała do tej pory. Wspomnienia, które zatarłyby w jej pamięci ból i koszmar.

Podczas jazdy tutaj podjęła decyzję. Chciała czuć na sobie jego dłonie, chciała poznać jego ciało, odkryć wszystkiego tajemnice. Rozumiała, że nie ma przed nimi przyszłości, ale chciała mieć chociaż dzień dzisiejszy.

Mogą przecież dać sobie noc miłości, może dwie albo trzy, a potem się rozstaną. Znowu poczuje się w pełni kobietą, której ktoś pragnie, która dla kogoś jest skarbem. A może jej uda się sprawić, że on na chwilę zapomni o swojej stracie.

Spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że i tak go kocha, niezależnie od tego, czy spędzi noc w jego ramionach, czy nie. Pochyliła głowę i pocałowała go pierwsza.

Colin jęknął i przycisnął ją do siebie mocno, a potem uniósł w górę, aż oboje podnieśli się i całowali z pasją, gwałtownie, jakby od tego zależało coś niezmiernie ważnego. Wiedziała, że podjęła słuszną decyzję - chciała być przez niego kochana i również sama chciała go kochać. Zaskoczyła ją tylko siła wzajemnego pożądania.

Należała do niego, jej miejsce było w jego ramionach. Nie chciała myśleć o tym, co się stanie, tylko co jest teraz.

- Katherine - usłyszała jego delikatny szept. - Tak długo na to czekałem.

Wiedziała o tym, ale pragnęła usłyszeć to z jego ust. Czują się pożądana, uwielbiana. Jej wygięte w łuk ciało całkowicie oddawało mu się we władanie.

- Gdybym był zbyt brutalny... - szepnął, dotykając końcem języka jej ucha, a potem przygryzając je lekko. - Powstrzymaj mnie. Powiedz tylko jedno słowo, a przesta-

nę. Nigdy cię nie skrzywdzę i nie chcę także, żebyś się mnie bała.

- Nigdy nie będziesz brutalny - odparła, przywierając ciasno do niego. - A ja nigdy nie będę się bała - dodała, przesuwając językiem po jego wargach.

Z głębokim westchnieniem Colin przygarnął ją jeszcze mocniej, jeszcze bliżej własnego ciała. Jego ręce powędrowały pod sweter, rozpięły bieliznę, uwalniając piersi, a potem ściągnęły jej sweter przez głowę, żeby pochłaniać ją wzrokiem ciężkim od pożądania. Zadrżał, kiedy przytuliła się do niego mocniej.

- Nie mogę uwierzyć, że to ja tak na ciebie działam - szepnęła z ustami tuż przy jego wargach.

- Właśnie ty. Skruszyłaś całe moje siły obronne.

- Nie przypuszczałam, że jestem w stanie wywołać coś takiego.

- To i jeszcze więcej, czego nie da się wyrazić słowami.

Colin był już u kresu wytrzymałości. Tak pragnął wziąć Katherine na ręce i zanieść do łóżka, żeby zatopić się w jej miękkim ciele, ale chciał jeszcze poczekać, dać jej jeszcze więcej, zostawić to na zawsze w jej pamięci.

I rzeczywiście, kiedy potem leżeli wyczerpani, niezdolni do wykonania żadnego ruchu, wtedy oboje czuli, że to był akt doskonały. Że czułość i namiętność Colina wywołały podobną reakcję u niej, że stali się w końcu jednym ciałem.

- Colin, dałeś mi tyle, że trudno to wyrazić słowami.

- Ale nie były to łyzy?

- Nie - odparła, uśmiechając się do niego. - Czysta, stu-procentowa radość.

- Ty też podarowałaś mi szczęście, najdroższa. Moja rudowłosa. Dziękuję niebiosom, że wsiadłaś do mojego samochodu.

- Dziękuję niebiosom, że mi to zaproponowałaś.

- Jesteś wspaniałą, cudowną kobietą, a teraz znów potrafisz odczuwać namiętność, której tak się obawiałaś. Kiedy pojedziesz do Kalifornii, zaczniesz pewnie nowe życie z kimś, kto będzie cię kochał i uwielbiał. A wtedy zapomnisz o wszystkim, co było wcześniej.

- Naprawdę? - spytała, wpatrując się w Colina. - Wiesz, nie mogę się już doczekać, kiedy go spotkam. Koniecznie muszę ci o nim napisać - o tym, jaki jest wspaniały i dokąd mnie prowadzi, i jak się ze mną kocha.

- Przestań! - zawołał gwałtownie, patrząc na nią płonąącym wzrokiem.

- Ty sam zacząłeś. A zresztą, czy to ci sprawia jakąkolwiek różnicę?

Nie mógł dłużej tego słuchać. Musiał po prostu chwycić ją w objęcia i pocałunkami zagłuszać słowa, aż zapomnieli o tej niepotrzebnej rozmowie i pograżyli się w oceanie namiętności.

Katherine obudziła się dość późno, kiedy głośne gwizdy drozdów przebijały się przez zamknięte okno. Zobaczyła, że jest sama w łóżku Colina, a na stoliku obok jest jakaś kartka. Wzięła ją do ręki i przeczytała.

„Muszę popracować, chociaż dzisiaj jestem jakiś osłabiony. Emily, to złote dziecko, jeszcze śpi. Wrócę na obiad, a właściwie bardzo wczesny obiad - około południa. Dłużej nie wytrzymam z dala od ciebie. Mama dzwoniła, mówiła, że przyjdzie nam pomóc. Nie może wytrzymać, żeby nie być

obok małej. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Pewnie już przyszła, kiedy jeszcze spałaś".

Katherine spojrzała na swoje nagie ciało i rozejrzała się wokoło, płonąć rumieńcem na widok fragmentów ich garderoby, porozrzucanych po całym pokoju. Szybko pobiegła wziąć prysznic, a potem do kuchni, zobaczyć co z Emily.

Mała leżała na kolanach Nadine, która kołysała ją i opowiadała coś przyciszonym głosem. Na widok Katherine uśmiechnęła się radośnie.

- Cieszę się, że wróciłyście. Mam nadzieję, że nie macz nic przeciwko mojemu przyjściu?

- Ależ nie, to bardzo miło z pani strony. - Katherine zaczerwieniła się, gdy uświadomiła sobie, że Nadine musiała wejść dziś rano cichutko do sypialni, żeby zabrać dziecko, i pewnie widziała ich oboje razem. - Czy Colin mówił pani coś o moim byłym mężu?

Nadine potrząsnęła głową, a Emily właśnie rozkrzyczała się, więc Katherine musiała szybko usiąść w fotelu i nakarmić małą. Przy okazji opowiedziała Nadine o Sloanie i o tym, dlaczego ucieka.

- "Ale utrzymujmy kontakt, jeśli wyjedziesz. Może przyślesz mi czasami zdjęcie małej?"

- Oczywiście - zapewniła ją Katherine. Czuła, że będzie tęskniła za matką Colina.

Mieszkali razem i kochali się, chociaż ona wiedziała, że ta idylla nie może trwać wiecznie. Jednak każda spędzona z nim chwila odkładała się w jej pamięci jak skarb, z którego później miała czerpać już do końca życia.

Nadine przychodziła w każdą środę i czwartek, a Kathe-

rine chętnie zgadzała się na taką pomoc. Wiedziała, że niedługo już będzie miała dziecko tylko dla siebie, więc pozwalała Nadine nacieszyć się nim, póki mała była w pobliżu.

Telefon zadzwonił w czwartek po południu. Katherine przechodziła akurat koło aparatu i zatrzymała się, żeby posłuchać. Była sama, gdyż Nadine akurat kąpała małą w łazience. Stała jak wryta, gdy tuż przy niej rozległ się głos Sloana.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Katherine? Chcę z tobą porozmawiać.

Wahała się, ale czuła, że tak czy owak musi dojść do ostatecznej rozmowy ze Sloanem, więc podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

- Nie wracam do Luizjany.

- Czy mógłbym chociaż się zjawić i porozmawiać z tobą przez chwilę? Proszę cię. Przyjadę sam i nie będę cię do niczego zmuszał. Daj mi tylko parę minut, żebym mógł wyjaśnić ci sprawy dotyczące mojej kampanii wyborczej. Jeśli nie wrócisz, to chociaż pozwól mi, żebym wydał uzgodnione z tobą oświadczenie i może zrobilibyśmy wspólne zdjęcie? Czy proszę cię o tak wiele?

Katherine patrzyła przez okno i chciała odpowiedzieć odmownie. Zdawała sobie sprawę, że strach, który już paraliżował ją od środka, nie pozwala jej logicznie myśleć. Pamiętała, jaki fałszywy potrafi być Sloan.

- Przykro mi, ale nie. Nie dopuszczę, żebyś był w pobliżu Emily.

- Proszę cię, Katherine. Przyjadę sam. Porozmawiaj tylko ze mną, a oszczędzisz kłopotów swojemu ukochanemu.

- Tak właśnie myślałam. Znów zaczynasz od gróźb! - krzyknęła, gdyż narastała w niej obawa o Colina.

- I nie są to czcze groźby. Wiesz, jak łatwo zrobić czło-

wiekowi krzywdę? O, choćby w tej chwili. Jedzie samochodem, a jeden z moich ludzi ma go na muszce. Wiesz, ile czasu by minęło, zanim odnaleziono by jego ciało?

- Kłamiesz! - krzyknęła Katherine, ściskając słuchawkę, aż pobieleły jej palce. - Chcesz mnie przestraszyć.

- Powinnaś wiedzieć, że ja nie rzucam słów na wiatr - powiedział Sloan tonem, który zwiastował gniew.

Cała drżąc, Katherine wyjrzała przez okno i myślała o Colinie, o tym, że powinna była dawno spakować się i wyjechać i gdyby to zrobiła, jemu nic by nie groziło.

- Jeśli się z tobą spotkam, to musisz zostawić go w spokoju.

- Oczywiście. Nie obchodzi mnie żaden Colin Whitefeather.

Poczuła dreszcz, kiedy on wymówił nazwisko Colina. Zastanawiała się, ile wie o nim i o jego codziennych zajęciach.

- Dobrze. Możesz przyjść do domu. Przy bramie jest alarm...

- To go wyłącz.

- Nie wiem, jak.

- W takim razie musisz uszkodzić go, do cholery. Nie chcę, żeby przyjeżdżali tu jacyś gliniarze. I niech ten Whitefeather nie wchodzi mi w drogę, bo go zabiję. A teraz wyłącz ten alarm i wpuść mnie do środka. Za dziesięć minut mnie tu już nie będzie. Chcę od ciebie zdjęcie i oświadczenie. Tylko tyle.

Pamiętała, co powiedział jej Colin. „Weź dziecko i swój pistolet i schroń się w domku pracowników”. Ale to było wtedy, zanim Sloan postawił jej swoje ultimatum. Jeśli uciek-

nie, jej były mąż wyładowuje wściekłość na Colinie. Musi tylko usunąć z jego drogi Nadine z dzieckiem. Podeszła do wyłącznika alarmu i przycisnęła go, a następnie pospieszyła do łazienki, gdzie właśnie Nadine osuszała ręcznikiem małą. Spojrzała na Katherine i uśmiech zamarł jej na ustach.

- Co się stało?

- Mój były mąż zaraz tu będzie. Chce ze mną mówić.

- Zaraz zadzwonię do Willa. Colin ma jego pager i mogę go złapać...

- Nie! - krzyknęła Katherine, a potem zniżyła głos. - Nic mi nie robi. Sloan chce tylko uzyskać ode mnie oświadczenie, żeby dobrze wypaść w kampanii wyborczej. Nie będzie chciał zabrać mnie stąd bez Emily. Ukryjcie się w domu dla pracowników, dobrze?

- Jesteś pewna, że nie potrzeba wzywać pomocy?

- Mam broń i w razie czego jej użyję. Albo zadzwonię do was. Tak czy owak, gdybym wzywała pomocy, możecie zawiadomić Colina. Ale nie wcześniej, dobrze? Nie chcę, żeby jemu coś się stało - mówiła błagalnym tonem. - Gdyby zjawił się tu przypadkowo, to postaraj się jakoś go zatrzymać.

- Nigdy nie przychodzi o tej porze. Jesteś pewna, że chcesz rozmawiać ze Sloanem?

- Tak. Ubierz Emily i uciekajcie, zanim on tu przyjdzie. Chyba był gdzieś w pobliżu, kiedy dzwonił.

Po chwili stała w drzwiach i patrzyła, jak Nadine z Emily w objęciach biegnie przez podwórze i znika w domku. Nieco uspokojona, skierowała wzrok na drogę. Wiedziała, że Sloan będzie krytykował jej wygląd, gdyż miała na sobie dzinsy i sztruksową koszulę Colina, której musiała podwinąć rękawy. On zaś zawsze lubił ją wystrojoną i uperfumowaną.

Zobaczyła samochód w oddali, zanim jeszcze usłyszała warkot silnika. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej się denerwowała. Może nie powinna była odsyłać Nadine? Albo trzeba jednak było zawiadomić Colina? Nie, pomimo strachu przed Sloanem nie chciała, żeby Colin był w to wmieszany.

Samochód podjechał pod tylne wejście i wysiadł z niego Sloan - uśmiechnięty, przystojny. Czuła tylko niechęć do niego i strach, narastający strach. Jak to się stało, że kiedyś go kochała albo wydawało jej się, że go kocha? Uśmiechał się, ukazując równe, białe zęby. Podobał się kobietom i wiedziała, że miał ich wiele. Dlaczego kiedyś zainteresował się właśnie nią? Często ją to dziwiło i raz nawet odważyła się go o to zapytać.

- Bo byłaś piękna, olśniewająca i przede wszystkim stanowiąca wyzwanie. Mój partner z drużyny, Zach Hayes, miał na ciebie ochotę. Musiałem mu ciebie odbić.

- Przecież z Zachem spotkałam się chyba jedynie ze dwa razy.

- Bo ja się w to wmieszałem.

Teraz też będzie chciał się „wmieszać”, jeśli uzna, że Colin jej pragnie.

- Mogę wejść? - zapytał Sloan.

Usunęła się, robiąc mu przejście. Sloan wszedł do kuchni i rozejrzał się dokoła.

- Czyżbyś preferowała teraz prymitywny styl życia? Myślałem też, że będziesz trzymała w ramionach naszą córkę.

- Jej tu nie ma.

- No tak, musiałaś urodzić dziewczynkę, kiedy wiedziałas, że pragnę mieć dziedzica?

- Chciałeś podobno o czymś porozmawiać. O jaki rodzaj oświadczenia ci chodzi?

- Chcę, żebyś wróciła ze mną do domu.

- A więc kłamałeś, kiedy mówiłeś o oświadczeniu. Ja nie wrócę do Luizjany.

- Najpierw posłuchaj, co ci chcę zaproponować. Jeśli zgodzisz się wrócić, zrobię taki zapis na rzecz naszej córki, że nie będzie musiała o nic się troszczyć do końca życia. Nie możesz odrzucić takiej oferty.

- Oczywiście, że mogę. Nie wierzę, że nie byłbyś dla niej okrutny.

- Widać, że tak naprawdę tego nie przemyślałaś. Zastanów się jeszcze, kiedy pojedę. Ja mogę dać jej wszystko, a ty niewiele. Nie masz nawet wykształcenia ani zawodu.

- Już niedługo będę miała.

- Wróć do mnie - zaczął namawiać ją usilnie. - Teraz rozumiem, że popełniłem wiele błędów. Tęsknię za tobą. Przysięgam, że już nigdy cię nie uderzę. Jeśli chcesz, możesz mieć oddzielny apartament - kusił. - Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

- Nie wierzę ci. Już nieraz słyszałam te obietnice.

Wiedziała, że wzbudza w nim gniew, odrzucając kolejne propozycje, ale nie mogła przecież zgodzić się na powrót do niego. Choćby ze względu na Emily. Nie pozwoli, żeby kiedykolwiek miał okazję ją skrzywdzić.

- No dobrze, w takim razie pokaż się ze mną publicznie, chociaż ze dwa razy, zrobmy parę wspólnych zdjęć i będziesz mogła odejść. Gdy zostanę gubernatorem, będę mógł oświadczyć, że się rozstaliśmy. A do następnych wyborów ludzie o tym zapomną albo nie będzie im to przeszkadzało. Wiem,

jak się zdobywa sympatię ludzi, ciebie też zdobyłem, prawda?

- Tu, niestety, muszę się z tobą zgodzić. Ale nie wrócę do ciebie ani też nie pozwolę ci zbliżyć się do Emili.

- Proszę cię, błagam. Będziesz miała to wszystko na piśmie. Zrobię, co tylko zechcesz. Przepraszam, że cię kiedyś uderzyłem. Daj mi jeszcze jedną szansę...

- Już dawno zniszczyłeś wszelkie szanse. A obietnice też składałeś i łamałeś je wszystkie. Odpowiedź brzmi „nie”.

- Zakochałaś się w tym policjancie, tak? - spytał Sloan, a szczęki zacisnęły mu się złowieszczo. Katherine dobrze wiedziała, co to oznacza.

- Nie mieszaj go do tego. Wyjeżdżam stąd i już nie będę go widywać - odparła, przesuwając się w kierunku stołu.

- Kłamiesz.

Wiedziała, że Sloan niedługo straci panowanie nad sobą, więc podeszła, żeby wziąć torebkę, w której miała broń. Sloan przyglądał jej się czujnie.

- Odbiorę ci prawa rodzicielskie. Nie jesteś w stanie zapewnić dziecku bytu. A mnie niczego nie udowodnisz. Moi ludzie zniszczyli wszelkie dowody i nie mam się czego obawiać, jeśli chodzi o ciebie.

- To prawda, nie masz się czego obawiać. Więc po prostu zostaw mnie w spokoju. Nie sądzę zresztą, żeby udało ci się zatrzeć ślady rozwodu, i dziwię się, że prasa jeszcze nie rozdmuchała tej sprawy.

- Bo ogłosiłem, że się pogodziliśmy. I jeśli wkrótce pokażę się publicznie razem z tobą, dziennikarze mi uwierzą. Dlatego musisz być przy mnie - mówił z uporem. - Tak będzie o wiele lepiej.

- Sam działasz na swoją szkodę, bo nic do ciebie nie przemawia. Musisz powiedzieć dziennikarzom, że jesteśmy rozwiedzeni i każde z nas żyje swoim życiem.

- Aha, i mam pozwolić im grzebać w naszych osobistych sprawach! - wybuchnął Sloan. Natychmiast pohamował złość, ale Katherine wiedziała, że utrata panowania nad sobą to kwestia chwili.

- Proszę cię tylko o dwa wspólne wystąpienia. Dlaczego z góry mówisz, że to niemożliwe?

- Bo wiem, że na tym się nie skończy. Gdybym pojechała z tobą, byłabym znowu na twojej łasce.

- W takim razie wróc sama. Zostawię ci pieniądze na bilet.

- Nie, Sloan. Nie zrobię tego.

Ruszył w jej stronę, więc Katherine pośpiesznie otworzyła torbę, żeby wyjąć pistolet, ale on zdążył jej dopaść i uderzył ją, popychając na stół. Zaciśnęła palce na kolbie, ale zauważył to i zaczął się z nią siłować, po czym uderzył jej ramieniem o szafkę. Krzyknęła z bólu, a Sloan wyrwał jej pistolet. Ból promieniował od palców do łokcia i Katherine zastanawiała się, czy przedramię nie zostało zmiażdżone.

- Wyciągnęłaś na mnie broń?! - krzyknął.

- Powinnaś była zrobić to już dawno.

- Przestań ze mną walczyć, bo twoja córka może stracić matkę, a wtedy na pewno ją dostanę.

- Wtedy będziesz siedział w więzieniu za morderstwo.

- To twój pistolet i twoje odciski palców. Widzisz? Ja przez cały czas nawet nie zdjąłem rękawiczek. Pójdziesz ze mną dobrowolnie albo ogłuszę cię i zabiorę siłą.

Wykręcił jej rękę do tyłu, aż krzyknęła z bólu.

- A teraz zabieramy Emily.
- Nie ma jej tutaj. Jest na sąsiednim ranczu, u matki Colina. Jego ojciec też tam jest. - Katherine kłamała wiedząc, że w domu jego rodziców nie ma nikogo.

- Trudno, pójdiesz sama. Pomyśl, że gdzieś uciekłaś i ją zostawiłaś.

- Colin będzie wiedział, że to ty mnie porwałeś.
- Może sobie nas ścigać. Nie uda mu się mnie powstrzymać. Nigdy cię nie znajdzie.

- Sloan, nie rób tego. Potem będziesz żałował.

Próbowała powstrzymać go, widząc, że jest już na granicy utraty panowania nad sobą. Wtedy stawał się najbardziej niebezpieczny.

Wyciągnął ją z domu i cisnął na siedzenie samochodu. Potem odwrócił się i wyrzucił jej pistolet w krzaki.

- Zapnij pasy - rozkazał, a kiedy zobaczył, że sięga po klamkę, uderzył ją na odlew w twarz. Posłusznie zapięła pasy bezpieczeństwa.

- Spróbuj jeszcze raz, a zobaczysz wszystkie gwiazdy na niebie - zagroził.

- To jest porwanie. Zobaczysz, że za to odpowiesz - powiedziała, masując bołą szczękę.

Sloan włączył silnik, a następnie sięgnął po telefon komórkowy i jedną ręką wybrał numer.

- Dziecko jest na sąsiednim ranczu, razem ze starymi. Macie ją wziąć - powiedział.

- Sloan...

- Nie ucieszy cię jej widok? - Zaczął jechać i znów mówić o swoich żądaniach. - Tylko dwa publiczne wystąpienia i dostaniesz powrotny bilet. Przecież to nic wielkiego.

- Słuchaj, jeśli jego rodzicom coś złego się stanie, to będziesz miał sprawę. Oni nie oddadzą dziecka bez walki.

- No to niech walczą. Ciekawe, co wskórają.

- Nie zgadzam się na te dwa wystąpienia - oznajmiła Katherine po chwili.

- Zgodzisz się - odparł. - Pomyśl o Emily i o tym, ile pieniędzy mogę jej zapisać.

- Nie uda ci się. Nie myślisz chyba...

Znów uderzył ją w twarz, aż głowa jej odskoczyła.

- Będę miał wszystko, co chcę. Wrócimy do Luizjany i znów będziemy mężem i żoną. Zobaczysz, będę teraz dobrym mężem...

- A to jest właśnie dowód na to?

Zaczął nagle kłaść, wyrzucać z siebie strumień złorzeczeń. Katherine odwróciła się i zobaczyła z tyłu nadciągającą chmurę pyłu, a w niej niebieskiego pikapa Colina. Zrobiło jej się zimno z przerażenia. Sloan sięgnął pod siedzenie i pomyślała, że chce wyjąć rewolwer.

- Nie strzelaj. Nie uda ci się uciec przed oskarżeniem o morderstwo.

- Nie mam zamiaru strzelać - odparł i spostrzegła w jego ręku łom. - Rozkwaszę mu tym łeb, a potem pojedziemy do domu.

- Puść mnie. Nic ci nie robi, jeśli pozwolisz mi odejść.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go załatwię - odparł Sloan takim tonem, że Katherine zadrżała. Twarz miał purpurową z wściekłości. - Trzymaj się! - krzyknął i nacisnął z całej siły na hamulec.

Katherine uderzyła głową o szybę, a potem pasy pociągnęły ją z powrotem do tyłu. Przez chwilę była oszołomiona, a potem

zobaczyła, że Sloan biegnie do samochodu Colina, który wyjmuje broń. Padł strzał, ale Sloan wyrwał Colinowi rewolwer, a następnie zamachnął się łomem. Colin uchylił się i łom roztrzaskał tylko szybę samochodu.

Przerażona siłą uderzenia, schwyciła za telefon i zadzwoniła na policję. Po chwili w słuchawce rozległ się głos.

- Potrzebujemy pomocy. Sloan Manchester usiłował mnie porwać. Byliśmy na ranchu Colina Whitefeathera, a teraz on zaatakował Colina. Proszę o pomoc.

- Czy chodzi o rancho Whitefeathera na północ od miasta?

- Tak. Pospieszcie się, proszę.

- Tak jest, proszę pani. Już jesteśmy w drodze.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, co z Colinem. Przerażona, obserwowała ich walkę. Widziała na policzku Colina krew. Sloan kopnął go, a ten upadł i oparł się o samochód. Sloan rozpedził się, żeby uderzyć go z całej siły, ale Colin uchylił się. Potem obaj znaleźli się na ziemi. Colin złapał go za głowę, żeby uderzyć nią o ziemię, jednak Sloan zdołał mu się wywinąć i wstać. Próbował nadepnąć mu na gardło, ale Colin chwycił go za nogę i pociągnął, aż Sloan stracił równowagę. Znow obaj podnieśli się i tym razem Colin rozpedził się i powalił Sloana, a następnie ciosem w szczękę dokończył dzieła.

Katherine drgnęła gwałtownie na dźwięk nadlatującego śmigłowca. Helikopter powoli opuścił się w pobliżu, kładąc swoim podmuchem trawę. Wsiadło z niego dwóch uzbrojonych mężczyzn.

Katherine pobiegła do Colina, a on chwycił ją w ramiona.

- Nic ci się nie stało? - spytał.

- Nie, nie, wszystko dobrze, ale ty jesteś ranny - powiedziała na widok jego zakrwawionej twarzy.

- Mama mnie zawiadomiła.

- Zdaje się, że w końcu poradziliście sobie bez nas - odezwał się tuż obok szeryf.

Katherine poczuła, że Colin ciąży jej coraz bardziej i powoli osuwa się na ziemię.

- Colin!

Uklękła przy nim, a szeryf pochylił się i zmierzył mu puls.

- Tętno ma dobre, wszystko będzie w porządku - powiedział. - Jestem Abe Swenson - dodał, wyciągając dłoń.

- Katherine Manchester.

- To pani do nas dzwoniła?

- Tak. To mój były mąż, Sloan Manchester - powiedziała, widząc, że dwaj mężczyźni w mundurach usiłują postawić go na nogi. Tymczasem Colin jęknął i otworzył oczy.

- W porządku? - zapytał Abe.

- Tak.

- No to dobrze. Musicie złożyć zeznania, ale z tym możemy trochę poczekać. Mamy zabrać was ze sobą, czy przyjedziecie później?

- Później - odparł Colin.

- Czy on próbował panią zabrać siłą?

- Tak. Uderzył mnie, a potem bił się z Colinem.

- Czy pani będzie zeznawać przeciwko niemu?

- Tak - odparła cicho, ale stanowczo.

Tymczasem Sloan stał już o własnych siłach, chociaż twarz też miał zakrwawioną.

- Weźmiemy go do komisariatu - powiedział szeryf. - A pani zajmie się tym facetem?

- Oczywiście - odparła Katherine, patrząc na Colina, który widocznie czuł już się lepiej, bo nawet mrugnął do niej ukradkiem.

- Ja tam zrobiłbym mu prześwietlenie, bo może ma złamane żebro - dodał szeryf.

- Dzięki, Abe - Odezwał się Colin. - Szybko się zjawiłeś.

- Powiedziałbym, że w sam raz, prawda? Inaczej ominęłyby cię przyjemność.

Kiedy helikopter odleciał, Katherine przyklękła obok Colina.

- Pojedziemy zawiadomić Nadine, że zjawiła się tu policja, a potem zawiozę cię do szpitala.

- Nie potrzebuję żadnego szpitala.

- Jasne - powiedziała drwiąco Katherine, podtrzymując z całej siły jego ciężkie ciało. Posadziła go w samochodzie, a sama szybko usiadła za kierownicą i zawróciła samochód, żeby pojechać na ranczo. Nadine wyszła im na spotkanie.

- Wiozę Colina do szpitala - powiedziała. - A policja aresztowała już Sloana.

- Bogu dzięki. Zatelefonujcie do mnie ze szpitala.

- Przecież to bez sensu - usiłował protestować Colin, ale usiadł posłusznie i przymknął oczy.

Pojechali do miasta w ślad za ledwo już widocznym śmigłowcem.

- No i dobrze - odezwał się nagle Colin. - Jego kariera jest skończona. Tego nie będzie w stanie zatuszować, bo ja sam wniosę sprawę.

Katherine uzmysłowiła sobie, że wreszcie jest wolna. Sloan już nie będzie stał między nimi, nie będzie się bała, że odbierze jej małą. Minuty mijały, a siedzący obok niej męż-

czynna nie odzywał się. Teraz już wiedziała, że nic nie zmusi go, żeby otworzył przed nią swoje serce. Pewnie ucałuje je obie na pożegnanie i wyekspediuje do Kalifornii. Przypomniała sobie, że przecież nie powinna liczyć na więcej. Może i tak, ale przecież człowiek mimo wszystko ma nadzieję. Spojrzała na Colina, na jego zakrwawioną twarz i potargane włosy.

- Boli cię? - zapytał.
- Nie.
- Pokaż mi się - zażądał.

Na moment odwróciła ku niemu twarz, a potem znów patrzyła na drogę.

- Chętnie uderzyłbym go jeszcze raz.

Przyjechali do szpitala, gdzie Colin uparł się, żeby również opatrzyli jej szczękę. Dostała więc worek z lodem i czekała na Colina, któremu zabandażowano żebra. Stamtąd zaś pojechali do biura szeryfa, żeby złożyć zeznanie.

Kiedy w końcu wrócili do domu, znaleźli na stole w kuchni kartkę:

„Kochani! Tata przyjechał po mnie i zabraliśmy Emily do nas. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zostanie u nas na noc. Będzie mogła wypróbować nową kołuskę, jaką zrobił dla niej tata. Zadzwońcie, kiedy wrócicie. Mama”.

- Zadzwoń?
- Lepiej ty zadzwoń. Nie mam ochoty rozmawiać. Napiję się piwa.
- Może masz ochotę na stek?
- Jasne. - Colin wstał z trudem, podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. - Już myślałem, że was nie dogonię.

- Mówiłam twojej mamie, żeby cię nie zawiadamiała.
- Na szczęście mama potrafi logicznie myśleć. Powinnas być mi wdzięczna.

- Jestem. Ale nawet nie mogę cię pocałować. Twoje wargi wyglądają tak, jakby okropnie cię bolały.

- Spróbuj - powiedział, a ona to zrobiła.

Steki zjedli dużo później, a jeszcze później Colin pokazał jej, co potrafi prawdziwy mężczyzna, mimo że ma pęknięte zębra.

Następnego dnia Katherine doszła do wniosku, że nie ma co przedłużać tej udręki. Colin był przecież dorosły i jeśli nie widział dla niej miejsca w swoim życiu, to im szybciej wyjedzie, tym lepiej. Poszła poszukać go i powiedzieć mu o tym. Myślała, że zastanie go przy pracy, ale siedział w kuchni i szybko wstał na jej widok.

- Myślałem, że śpisz, i starałem się wyjść po cichu.

- Spałam, ale potem obudziłam się, wzięłam prysznic i spakowałam się.

Coś błysnęło w jego wzroku, ale nie podjął tematu.

- Chcesz sok pomarańczowy czy kawę? - spytał.

- Napiję się soku.

Przyglądała mu się otwarcie. Nawet cały posiniaczony wyglądał wspaniale i nie potrzebowała długo sobie przypominać, jak wygląda, gdy nie ma na sobie ubrania.

Przyniósł sok i wtedy zauważył jej spojrzenie. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, a potem pocałował powoli, ale z pasją, która zadawała kłam jego chłodnemu zachowaniu. Katherine zastanawiała się, czy on zmaga się jakoś ze sobą, czy jest twardy w środku jak skała. Miała nadzieję na to pierwsze.

Pozmywali po śniadaniu, a potem Katherine zaczęła telefonować do linii lotniczych, szukając najwygodniejszego połączenia. W końcu odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Colina, modląc się w duchu, żeby się rozpłakać.

- Znalazłam lot do San Francisco. Odlot dziesięć po dwunastej z Oklahoma City, z międzylądowaniem w Phoenix.

- Odwiozę was na lotnisko. Teraz już nic wam nie grozi.
- Colin podszedł do niej i otoczył ją ramionami. - Boże, jak bardzo będę tęsknił za wami.

Powiedz, że chcesz, żebym została, ponaglała go w duchu. No powiedz, Colin.

Jednak oczekiwane słowa nie padły i o dziewiątej ruszyli do rodziców Colina, żeby pożegnać się z nimi i zabrać Emily.

Katherine nie pamiętała, o czym rozmawiali, jadąc samochodem. Prześladowała ją tylko jedna myśl. To już koniec, a ona kocha go nieprzytomnie. Chwilami chciała krzyknąć na niego, wydusić jakieś wyznanie, ale trzymała język za zębami, żeby uszanować jego decyzję.

Pożegnali się przy wejściu. Colin pocałował ją, a potem wziął w ramiona małą Emily i też ją ucałował. Katherine miała łzy w oczach, ale widziała, że u niego też coś błyszczący na rękach i to nią wstrząsnęło.

Colin myślał, że serce mu pęknie. Oddał jej Emily i patrzył, jak przechodzą przez kontrolę biletów, a potem znikają w oddali. Rude włosy Katherine kołysały się przy każdym kroku i tylko dzięki nim poznawał z daleka, że to ona. Chciał pobiec za nią, zawołać, żeby wróciła, a ona z każdą chwilą oddalała się od niego jeszcze bardziej. Ze zdumieniem pomyślał, że cierpi tak strasznie jak wtedy, kiedy utracił Dane.

Dlaczego to tak boli? Czy można aż tak bardzo zakochać

się w jakiejś kobiecie? Patrzył na oddalony samolot. Widział, jak zamykają się drzwi. Chciał walić rękami w szybę i krzyczeć, żeby wróciły. Bądź rozsądny, napomniął się w myśli. Miałeś na to całe przedpołudnie. Bał się zaryzykować, że straci serce, ale i tak je stracił i na dodatek pozwolił im odejść.

Samolot wystartował, a on stał z rękami zaciśniętymi w pięści i zmagął się ze sobą. W końcu wsiadł do samochodu, zamknął z trzaskiem drzwi i ruszył do domu. W pewnym momencie zwolnił i oglądając się przez ramię powiedział na głos:

- Chyba to był błąd, że pozwoliłem wam odejść, Chcę, żebyście wróciły.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Samolot nabrał szybkości i wzbił się w powietrze, kierując się ku słońcu. Katherine otarła oczy i zaczęła zabawiać małą, która chyba wyczuła jej nastrój i też była niespokojna.

Potem włożyła ją do nosidełka i wyjrzała przez okno. Zieleniące się pola przypomniały jej o Colinie. Zbliża się lato i pewnie będzie miał dużo pracy na ranchu, ona zaś zacznie całkiem nowe życie.

Wcale nie chciała zaczynać tego życia bez niego. Byłby takim cudownym ojcem dla Emily. I przecież je kochał, inaczej nie miałyby w oczach łez. Znów zaczęła płakać i żałować, że nie potrząsnęła nim, nie zmusiła do zastanowienia się nad tym, jaki błąd popełnia. Przecież on ją kocha. Demonstrował to na tyle sposobów. Ryzykował dla niej życie. Dlaczego uciekła od niego, jak najszybciej się dało?

Pogłaskała Emily po policzku.

- Może powinniśmy jeszcze raz z nim porozmawiać? Przecież on nas kocha. I jego rodzice też nas kochają. Wszystko jest tak, jak być powinno.

Spojrzała na zegarek. Teraz miało być międzylądowanie w Phoenix. Dlaczego nie miałyby wsiąść i wrócić, jeśli jej serce zostało w Oklahomie? A mężczyzna, którego kocha, miał łzy w oczach, kiedy się z nią żegnał?

Nie mogła usiedzieć na miejscu, czas włókł się niemiło-

siernie. Kiedy wreszcie wylądowali w Phoenix, szybko pozbierała bagaże i pomaszerowała do kasy biletowej.

- O której mam najbliższe połączenie z Oklahoma?

W Oklahomie wylądowała o pierwszej po południu następnego dnia. Godzinę później jechała wynajętym samochodem do domu Willa i Nadine. Matka Colina była akurat na ganku i spostrzegła ją z daleka.

- Wróciłaś - zawołała głosem pełnym radości. - Czy Colin jest z tobą? - spytała, zaglądając do samochodu.

- Nie. Czy możecie zatrzymać małą na chwilę? Postanowiłam wrócić i jeszcze raz z nim porozmawiać.

Nadine uśmiechnęła się i obdarzyła ją serdecznym uściskiem.

- Tak się cieszę. Colin ciebie potrzebuje.

- Nie jestem tylko pewna, czy on o tym wie - stwierdziła Katherine.

- A tu jest moja kochana lalczka. Chodź do babci, skarbie. Zawsze chciałam mieć córeczkę, a teraz dostałam aż dwie. Może zostać u nas, na jak długo chcesz. Do jutra, przez cały tydzień. Nie przyjeżdżaj, dopóki ten uparciuch nie przestanie tak głupio się zachowywać.

Katherine, śmiejąc się, poszła z powrotem do samochodu i po chwili wróciła, niosąc rzeczy Emily.

- Jedź już, nie trać czasu - popędzała ją matka Colina.

- Dziękuję. Być może zaraz będę z powrotem.

- Nie sądzą - odparła Nadine, całkowicie już zajęta małą.

Katherine pośpiesznie ruszyła, ale im bliżej była domu Colina, tym większe czuła zdenerwowanie. Przychodziły jej do głowy przeróżne czarne scenariusze. Nie będzie mogła

nigdzie go *znaleźć*. On z miejsca odeśle ją na lotnisko. Okaze się, że opuścił ranczo i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

Dojechała do domu, wysiadła i zaczęła stukać do tylnych drzwi. Nikt nie odpowiadał, więc wsiadła z powrotem do samochodu i zaczęła jechać powoli przez podwórko, mijając garaże i stodołę. Już po chwili go zobaczyła - stał pochylony i zwijał drut. Zobaczył ją z daleka i wyprostował się, czekając.

Poczuła, że ma mokre dłonie. Była bardzo zdenerwowana i zrozumiała, że się wygłupiła, przyjeżdżając tutaj. Ta chwila zaraz okaże się najgorszym momentem w jej życiu. Podjechała bliżej i uchyliła drzwi.

- Wsiadaj. Tym razem ja chcę cię ochronić. Dopilnuję, żeby nikt cię nie skrzywdził.

Colin wypuścił trzymany w ręce drut i podszedł do samochodu. Oparł się obiema rękami o karoserię i pochylił do okna.

- Co robisz?

- Dawno temu zaproponowałam ci pomoc, a ja z niej skorzystałam. Zaryzykowałam. Teraz twoja kolej. No, chodź. Pamiętaj, że nic nie zdoła mnie stąd wypędzić. Nie mam zamiaru przez całe życie umierać z tęsknoty za tobą.

Colin nic nie mówił, a ona przez chwilę myślała, że zaraz każe jej się stąd wynosić. Wtedy chyba zwinęłaby się w kłębek i padła trupem na miejscu. Colin tymczasem otworzył drzwi.

- Wsiadaj.

Wciąż wstrzymując oddech, zrobiła parę kroków. Colin objął ją w pasie.

- Chodź tutaj.

Nic nie rozumiejąc, prawie biegnąc, kiedy wielkimi krokami obszedł narożnik stodoły, wprowadził ją do środka i zamknął za nimi drzwi.

- Colin?

Nadal nic nie mówiąc, wziął ją w ramiona i pociągnął do kąta.

- Co ty robisz?

- Biorę na poważnie twoją propozycję.

- W stodole? Przecież ktoś może wejść...

- Zamknąłem drzwi.

Serce jej waliło, ogarnęło ją zdumienie, radość i pożądanie. On chce, żeby została! W końcu wszystko okazało się takie proste. Podniosła ku niemu przepełnioną szczęściem twarz i zatopiała palce w jego włosach.

Colin też mógł myśleć tylko o jednym - ona była tutaj! Wiedział, że powinien powiedzieć jej o swoich uczuciach, ale zrobi to później. W tej chwili chciał tylko całować ją i kochać. Popchnął ją na siano i podążył za nią, całując ją mocno, pospiesznie zdejmując z niej ubranie, a potem prowadząc ją na szczyty, gdzie istniała tylko dzika, nieskrępowana namiętność.

Później, kiedy leżeli wyczerpani, namiętność znów stała się determinacją.

- Słuchaj, Colin. Nie mam zamiaru odejść, ot, tak i odrzucić to wszystko, co nas połączyło. Jeśli będę musiała z tobą walczyć...

- Wiem, najdroższa. Wyjdź za mnie.

- Przecież jesteś najukochańszym mężczyzną pod słońcem... - Dopiero teraz dotarło do Katherine, co powiedział, więc obróciła się na bok i przyglądała mu się bacznie.

- Wyjdź za mnie - powtórzył. - Nie powinienem być pozwolnić ci odejść.

- Naprawdę chcesz ożenić się ze mną? - pytała, czując gwałtowne bicie swego serca.

- A dlaczego wróciłaś?

- Żeby wyjść za ciebie.

- Chyba drepczemy w kółko. No to wyjdiesz za mnie?

- Tak - powiedziała z westchnieniem. - I co, odważysz się pokochać kogokolwiek jeszcze raz?

- Pokochałem cię tej nocy, kiedy urodziła się Emily.

- Tego oczekiwałam, kiedy jechałam tutaj - zapewnienia o miłości i trwałym związku. Nie spodziewałam się, że zostanę zaciągnięta w stóg siana. Na dodatek ono kłuje.

- Zarezerwowałem sobie miejsce w samolocie do San Francisco na przyszłą sobotę - powiedział Colin, uśmiechając się i całując szyję Katherine.

- Naprawdę? - spytała zdumiona. - Tak się cieszę. Teraz wiem przynajmniej, że to była też twoja decyzja, bo czułam się tak, jakbym cię zmusiła do oświadczeń, trzymając na muszce.

- Oczywiście, że mnie zmusiłaś. Chociaż lepszym określeniem byłoby „zniewoliłaś”. Wiesz co, pobierzmy się jak najszybciej. Może pojedziemy w krótką podróż poślubną?

- Pewnie, że to lepsze niż leżeć w tym sianie.

- Bogu dzięki, że wróciłaś. Kiedy usłyszałem warkot twego samochodu, a potem zobaczyłem cię, nie wierzyłem własnym oczom. Myślałem, że to jakieś halucynacje.

- Tak lubię słuchać o tym, że za mną tęskniłeś.

- Tęskniłem nie do wytrzymania. Kocham cię i Emily całym sercem i nie powinienem być pozwolić ci odejść. Tę-

skniłem za tobą od pierwszej minuty i chciałem pędzić za twoim samolotem. Bez ciebie życie było piekłem.

- Och, Colin - szepnęła w ekstazie. - Mój ukochany.

Przytuliła się do Colina mocniej, myśląc o tym, że teraz będą stanowić prawdziwą rodzinę i że wreszcie powróciła do domu.